

aleje 3

NUMER 77
ISSN 1427-8812

styczeń - luty 2010
CENA 3 zł

Dwumiesięcznik Kulturalny Częstochowy





Marek Pernal - Wysychający zbiornik La Sau

aleje 3

Dwumiesięcznik Kulturalny Częstochowy

Pismo finansowane
przez Urząd Miasta Częstochowy

Wydawca

Biblioteka Publiczna
im. dr. Wł. Biegańskiego
w Częstochowie
Al. Najświętszej Maryi Panny 22
42-200 Częstochowa
Tel. 034/ 360-56-28
www.biblioteka.czest.pl

Redakcja

Aleje NMP 22
42-200 Częstochowa
Tel. 034/ 360-56-28
aleje3@op.pl

Teksty niezamówione nie będą zwracane.
Zastrzegamy sobie możliwość opracowania
i skracania przysłanych materiałów.

Poglądy Autorów nie zawsze
odzwierciedlają poglądy Redakcji

Red. Naczelny

Marian P. Rawinis
Tel. 0505-666-486
mprawinis@poczta.onet.pl

Skład i łamanie

Krzysztof Klaus

Druk i oprawa:

Sowa - druk na życzenie
www.sowadruk.pl
tel. (0-22) 431-81-40
Nakład 400 egz.



Fot. Marcin Szpąderski

Obchodzimy Rok Chopinowski, ogłoszony w związku z dwusetną rocznicą urodzin kompozytora. Będą więc koncerty, wystawy i uroczystości. Życie Fryderyka Chopina zostało opisane jak rzadko którego polskiego artysty – biografie, sztuki, powieści, filmy. Wśród wspomnień współczesnych Chopinowi artystów, najbardziej znana anegdota wyszła spod pióra Cypriana Kamila Norwida. Dla szczupłości miejsca przytaczam ją tutaj z pewnymi skrótami. Jak wszyscy pamiętamy, pisze Norwid w „Czarnych kwiatach”:

„W Paryżu Fryderyk Chopin mieszkał przy ulicy Chaillot, co, od Pól Elizejskich w górę idąc, w lewym rzędzie domów, na pierwszym piętrze, mieszkania ma z oknami na ogrody i Panteonu kupole, i cały Paryż.. Jedyny punkt, z którego napotykać się widoki cokolwiek zbliżone do tych, które w Rzymie napotykasz. Takie też i Chopin miał mieszkanie z widokiem takim, którego to mieszkanie główną częścią był salon wielki o dwóch oknach, gdzie nieśmiertelny fortepian jego stał, a fortepian bynajmniej wykwinny - do szafy lub komody podobny, świetnie ozdobiony jak fortepiany modne - ale owszem trójkątny, długi, na nogach trzech, jakiego, zdaje mi się, już mało kto w ozdobnym używa mieszkaniu. W tym salonie jadał też Chopin o godzinie piątej, a potem zstępował, jak mógł, po schodach i do Bułońskiego Lasku gdzieżdił, skąd wróciwszy, wnoszono go po schodach, iż w górę sam iść nie mógł. (...)

Nareszcie zaszedłem raz jednego i odwiedzić go chciałem (...). Wszedłem więc do pokoju obok salonu będącego, gdzie spiał Chopin (...) i zastałem go ubranego, ale do pół leżącego w łóżku, z nabrzmiałymi nogami, co, że w pończochy i trzewiki ubrane były, od razu poznać można było. (...)

Owóż - przerywanym głosem, dla kaszlu i dawienia, wyrzucił mi począł, że tak dawno go nie widziałem - potem żartował coś (...) - potem z siostrą jego mówiłem - potem były przerwy kaszlu, potem moment nadszedł, że należało go spokojnym zostawić, więc żegnałem go, a on, ścisnawszy mię za rękę, odrzucił sobie włosy z czoła i rzekł: „...Wynoszę się!...” - i począł kastać, co ja, jako mówił, usłyszawszy, a wiedząc, iż nerwom jego dobrze się robiło silnie coś czasem przecząc, użyłem onego sztucznego tonu i całując go w ramię rzekłem, jak się mówi do osoby silnej i męstwo mającej: „...Wynosisz się tak co rok... a przecież, chwała Bogu, oglądamy cię przy życiu.” A Chopin na to, kończąc przerwane mu kaszlem słowa, rzekł: „Mówię ci, że wynoszę się z mieszkania tego na plac Vendôme...”

Zachowując stosowne proporcje, redaktor niniejszego dwumiesięcznika ma honor oznajmić: wynoszę się.

Mam nadzieję, że to tylko przeprowadzka pod inny adres, gdzie nadal będą mógł spotykać się z Czytelnikami - na innych, książkowych, łamach.

Przekazując pismo w inne ręce, serdecznie dziękuję wszystkim, z którymi i dla których dane mi było pracować.

Bądźcie zdrowi.

Marian Piotr Rawinis

Dwie wystawy Juliana Fuchsa w Częstochowie

Jednym z głośniejszych wydarzeń w życiu kulturalnym Częstochowy ostatnich dziesięcioleci XIX wieku była wystawa panoramy Golgota (*Ukrzyżowanie Chrystusa*), namalowanej w Monachium na zamówienie dr. Henryka Lgockiego przez trzech artystów: Stanisława Radziejowskiego, Antoniego Piotrowskiego i niemieckiego malarza Ludwika Bollera. Ludwik Boller wcześniej znalazł się w zespole Jana Styki, który w 1894 roku wykonał sławną *Panoramę Raclawicką*. Panorama na przełomie czerwca i lipca 1896 roku została przywieziona do Częstochowy. Wyeksponowano ją w specjalnie w tym celu zbudowanej po południowej stronie ulicy Panny Marii, przy skrzyżowaniu z ulicą Celną (dzisiaj Pułaskiego), oryginalnej budowli w kształcie rotundy, zaprojektowanej przez warszawskiego architekta Karola Kozłowskiego, sfinansowanej przez Henryka Lgockiego. Uroczyste otwarcie wystawy miało miejsce 22 lipca tegoż roku. Wzięło w nim udział liczne grono artystów, dziennikarzy, literatów i zaproszonych mieszkańców Częstochowy¹.

Do czasu wystawienia *Golgoty* w Częstochowie odbyły się dwie publiczne ekspozycje malarstwa, w roku 1882 i 1889, kilkadziesiąt lat po pierwszych, zainicjowanych przez rząd polski Królestwa Kongresowego, oficjalnych wystawach sztuki. W roku 1816 przy nowo powołanym Uniwersytecie Warszawskim założono Oddział Sztuk Pięknych, z katedrami malarstwa, perspektywy, sztacharstwa i rzeźby, gdzie m.in. wykładali Antoni Brodowski, Antoni Blank, Zygmunt Vogel. Trzy lata później w należącym do uniwersytetu pałacu Kazimierzowskim urządzono otwartą dla widzów ekspozycję sztuki, następne miały być organizowane co dwa lata. Najlepsze prace z zakresu malarstwa, rzeźby, rycin, rysunków i projektów architektonicznych wyróżniano medalami. Swój dorobek prezentowało również warszawskie środowisko artystyczne. O ile na uczelni dominował styl późnego klasycyzmu, z tematyką antyczną, biblijną, rza-

dziej historyczną, w prywatnych szkołach artystycznych stopnia średniego, które prowadzili m.in. Aleksander Kokular, Henryka Beyer, Franciszek Lampi, Feliks Pęczarski, Seweryn Oleszczyński, pojawiają się wpływy romantyzmu oraz realizm. Urządzane wystawy miały przede wszystkim charakter handlowy. Duże zainteresowanie budziły obrazy o tematyce rodzajowej, pejzaże, wedy, wnętrza architektoniczne, martwe natury, zwłaszcza z kwiatami i owocami. W okresie biedermeieru szczególnie modny stał się portret, a także miniatury portretowe. Portrety w konwencji realizmu mieszczańskiego tworzyli m.in. Rafał Hadziejewicz, Feliks Pęczarski, Jan Feliks Piwarski, Bonawentura Dąbrowski. Mistrzami portretu miniaturowego byli Józef Kosiński i Stanisław Marszałkiewicz. Oprócz zamożnego mieszczaństwa i inteligencji urzędniczej, dzieła sztuki kupowały instytucje rządowe. O wystawach informowała stołeczna prasa, w gazetach zaczęły się pojawiać merytoryczne recenzje artystyczne. Wydarzenia te docierały na prowincję, stając się inspiracją dla ośrodków lokalnych.

Centrum artystycznym w zaborze austriackim był Kraków. Istniejącą od 1818 r. przy Uniwersytecie Krakowskim Szkołę Malarstwa w roku 1834 włączono do Instytutu Technicznego jako Szkołę Malarstwa i Rysunku. W szkole obowiązywała konwencja klasyczna, którą reprezentowali m.in. malarze Józef Brodowski, Wojciech Stattler, czy okresowo zatrudniony Rafał Hadziejewicz. Samodzielna twórczość ich wychowanków - m.in. Andrzeja Grabowskiego, Maurycego Gotlieba, Jana Nepomucena Głowackiego, Władysława Łuszczkiewicza, Aleksandra Gryglewskiego, Jana Matejki, malujących krajobrazy, widoki architektoniczne, kompozycje o tematyce rodzajowej i historycznej, czy portrety - reprezentowała nurt romantyczny i realizm. Pedagogami zostawali dawni studenci, jak Łuszczkiewicz, Gryglewski, czy Matejko, który rządził uczelnią (przemianowaną przez niego na Szkołę Sztuk Pięknych) przez lat 20, do swojej śmierci w 1893 r. Do roczników młodszych należeli m.in. Aleksander Kotsis, Artur Grottger, Walery Elias Radzikowski, Jacek Malczewski. Od roku 1854 artyści mogli bez przeszkód wystawiać w Towarzystwie Przyjaciół Sztuk Pięknych.

W Królestwie Kongresowym życie artystyczne, kulturalne i naukowe zostało stłumione w ramach represji po klęsce powstania listopadowego. Zamknięto Uniwersytet Warszawski wraz z Oddziałem Sztuk Pięknych oraz Towarzystwo Przyjaciół Nauk, biblioteki i zakłady naukowe. Zakazano także wszelkich oficjalnych ekspozycji, w tym

¹ Więcej o wystawie panoramy Golgota w Częstochowie zob. artykuł A. Dylewska, Wystawy obrazów panoramowych w Częstochowie w: *Aleje 3*, listopad-grudzień 2009.

dzieł sztuki. Stanowisko to złagodzone pod koniec lat trzydziestych, a w roku 1840 władze rosyjskie zezwoliły na organizowanie publicznych wystaw artystycznych co 4 lata; w okresie tym odbyło się kilka większych i mniejszych imprez w celach handlowych lub dobroczynnych. W roku 1844 – w okresie względnej odwilży - rząd utworzył Szkołę Sztuk Pięknych, która początkowo strukturalnie należała do państwowego Gimnazjum Realnego i miała charakter szkoły średniej. Dzięki metodom nauczania profesorów: Aleksandra Kokulara, Jana F. Piwarskiego, Rafała Hadziewicza, Ksawerego Kaniewskiego, Marcinowi Zaleskiego, Christiana Breslauera, osiągnęła poziom nowoczesnej uczelni artystycznej. W Szkole wprowadzono tematykę rodzajową i krajobrazową, uwzględniającą zajęcia w plenerze. W duchu romantyzmu artyści odbywali „piechotne wędrowki” po kraju, odkrywając „starożytne” zabytki architektury i kultury. Tematem obrazów i rysunków stały się widoki

wsi i miasteczek, malownicze ruiny zamków, pałace, dwory, kościoły.

W okresie Wiosny Ludów (1848) zaborca zabronił znowu, za wyjątkiem wystaw przemysłu i rzemiosła, publicznych pokazów artystycznych. Decyzje te obowiązywały w całym Królestwie Polskim.

W Warszawie życie artystyczne ożywiło się w latach pięćdziesiątych, m.in. dzięki powstaniu nieformalnej grupy zwanej „cyganeria” warszawska, z Marcinem Olszyńskim, Wojciechem Gersonem, Henrykiem Pillatim, Franciszkiem Kostrzewskim, Józefem Szermentowskim na czele. W roku 1858 udało się powrócić do powszechnych wystaw sztuk pięknych, w 1860 władze wydały zgodę na powstanie Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych, instytucji która miała zająć się gromadzeniem współczesnych dzieł sztuki i działalnością wystawienniczą. Represje po upadku powstania styczniowego, które dotknęły wszystkich przejawów życia społecznego, doprowadziły do zamknięcia w roku 1866 Szkoły Sztuk Pięk-



Fot. Leszek Pflichowski

Kamienica Juliana Fuchsa, Aleja NMP 7 (widok obecny)

nych. W zamian rząd pozwolił na otwarcie w stolicy tzw. Klasy Rysunkowej, która do końca XIX wieku była jedyną państwową szkołą artystyczną w całym Królestwie Polskim. Po okresie stagnacji władze rosyjskie zgodziły się na działalność nadzorowanych przez cenzurę prywatnych galerii i szkół artystycznych, z których najbardziej znaną była szkoła rysunkowa Wojciecha Gersona. W roku 1879 salon wystawowy udostępnił Gracjan Unger, rok później na drugim piętrze Hotelu Europejskiego artysta rzeźbiarz Aleksander Krywult stworzył Salon Sztuk Pięknych.

W Częstochowie obie wystawy zaistniały z pomocą Juliana Fuchsa (1846-1894), kupca i przemysłowca, wykształconego w duchu pozytywizmu społecznika i lokalnego patrioty, cieszącego się w mieście ogromnym szacunkiem i zaufaniem, osobistości wybitnej. Był jednym z dwojga dzieci Ignacego i Karoliny z Boguckich, właściciela firmy *Handel Win, Herbaty, Cukru, Delikatesses i Towarów Kolonialnych*, mieszczącej się od roku 1845 przy ulicy Panny Marii 7 (I Alei), którą prowadził po ojcu. Do J. Fuchsa należał m.in. Hotel Angielski przy ul. Dojazd (obecnie Piłsudskiego) i restauracja w ogrodzie przy kamienicy Wolbergów przy I Alei nr 12.

Przedsiębiorca, a zarazem intelektualista, znawca literatury i kolekcjoner sztuki, organizator i sponsor życia kulturalnego, Julian Fuchs współczesne malarstwo i rzeźbę miał okazję poznać w stołecznych salonach artystycznych. Warszawskie galerie przyciągały zwiedzających (i ewentualnych nabywców) atrakcyjnymi pokazami, w tym prac malarzy z terenów Polski przedrobiorowej. W Salonie Ungera można była oglądać np. *Powrót z Golgoty* Franciszka Krudowskiego, *Bitwę pod Grunwaldem* i *Hold pruski* Jana Matejki, u Krywulta - m.in. płótna Józefa Chelmońskiego i Aleksandra Gierymskiego, Zachęta prezentowała *Kazanie Skargi* i *Kopernika* Jana Matejki, *Jawnogrzecznicę* i *Świeczniki chrześcijaństwa* Henryka Siemiradzkiego, płótna m.in. Józefa Simmlera, Józefa Szermentowskiego, Aleksandra Kotsisa, Aleksandra Lessera, Józefa Brandta, Jana Rosena, Wojciecha Gersona, i wielu innych.

Do Warszawy Julian Fuchs jeździł w interesach, w tym do firmy swojego krewnego Franciszka Ksawerego Fuchsa, kupca i przemysłowca, właściciela dochodowej wytwórni cukru i czekolady, który był znanym filantropem, opiekunem wielu zakładów dobroczynnych w Warszawie. Do Franciszka Fuchsa należała kamienica dochodowa Pod Orłami na Placu Trzech Krzyży, zbudowana w latach 1884-1886 przez

wziętego warszawskiego architekta Józefa Husa, jedna z ładniejszych w stolicy.

Inteligencja częstochowska – nauczyciele, lekarze, aptekarze, prawnicy, rejenci, sędziowie, architekci, budowniczości, księgarze, redaktorzy i wydawcy, urzędnicy, handlowcy, bankowcy, fabrykanci, artyści - choć niezbyt liczna, nadawała ton kulturalnemu i towarzyskiemu życiu miasta. To przede wszystkim dla niej sprowadzono trupy teatralne, urządzano koncerty muzyczne, aranżowano amatorskie przedstawienia teatralne i występy miejscowych zespołów śpiewaczych, organizowano bale charytatywne, zabawy okolicznościowe, kamawałowe maskarady (które często odbywały się w miejscowym teatrze), przygotowywano publiczne prelekcje i odczyty o charakterze naukowym i popularyzacyjnym z różnych dziedzin wiedzy.

Przedstawiciele inteligencji oraz wzorujący się na niej zamożni mieszczanie pochodzenia rzemieślniczego, wyjątkową wagę przykładali do wyglądu i wyposażenia mieszkań, potwierdzających wysoką pozycję społeczną właścicieli. Lokale wynajmowano w reprezentacyjnych kamienicach czynszowych lub budowano domy własne.

Apartamenty urządzano zgodnie z panującą modą, posługując się wzornikami, katalogami, poradnikami. Od czasu biedermeyera ważną rolę w wyposażeniu wnętrz mieszczańskich odgrywała sztuka. Mieszkania z upodobaniem dekorowano obrazami, rzeźbami gabinetowymi, figurkami z porcelany, sztychami, litografiami, fotografiami, przeróżnymi bibelotami i przedmiotami z zakresu rzemiosła artystycznego. W pokojach wisiały portrety, martwe natury, kompozycje kwiatowe, krajobrazy, widoki miejskie, sceny rodzajowe. Gromadzono także książki. Przykładem bibliofila jest sędzia częstochowski Aleksander Skowroński, który swój zbiór liczący ponad 1000 książek zapisał Akademii Umiejętności w Krakowie.

Kulturalne aspiracje tej warstwy społecznej dokumentuje pierwsza z publicznych wystaw przygotowanych przez Juliana Fuchsa. Dochód z biletów przeznaczono na potrzeby straży ogniowej ochotniczej. Ekspozycja, którą otwarto 6 maja 1882 r., została zorganizowana w domu własnym Fuchsa przy ulicy Panny Marii 7. Pokazano na niej obrazy wypożyczone z domów częstochowskich mieszczan, w tym kolekcję płócien samego pomysłodawcy. Częstochowski korespondent „Tygodnia” wydawany w Piotrkowie Trybunalskim pisał: „Wystawa obrazów w Częstochowie!... Niewątpliwie wyrwie się z ust niejednemu ten ironiczno-szyderski wykrzyknik. Miasto na-

sze znane jako stolica łokciowego malarstwa; w tym przypadku więc bez złośliwego uśmiechu się nie obejdzie. Tymczasem przekonaliśmy się naocznie, a gród nasz może się poszczycić cennymi dziełami sztuki, widzieliśmy bowiem na wystawie obrazy pędzla: Gryglewskiego, Piechowskiego, Ejsmonda, Gramatyki, a nawet Corregia, wszystkie będące własnością mieszkańców Częstochowy. Komitet oceniający mógł by usunąć kilka, mniej szczęśliwie dobranych, dla „niepsucia fałszywym tonem całej harmonii piękna”; ale w takim razie sala okazałaby się pusta, chęci więc starcza za uczynek, zwłaszcza, iż inicjator przelamał wiele trudności przy doprowadzeniu pięknego swego planu do urzeczywistnienia; cel zaś dochodu zwiększa cyfrę obywatelskich jego czynów. W dzień otwarcia wystawy było 24 osób; cena wejścia trochę może za niska (15 kopiejek, dzieci i uczniowie 10 kopiejek), lecz przyjmują się także naddatki. Gdyby jednakże cenę wejścia podwyższyć, co nie byłoby wcale uciążliwym dla zwiedzających, nikt by z pewnością nie zaj-

rzał; klasa naszych bowiem patrycjuszów, nie bardzo solidaryzuje się ze strażą”. Ekspozycja trwała do początku czerwca.

Przytoczone nazwiska należały do znanych i cenionych ówczesnych malarzy, działających w dwóch ośrodkach – warszawskim i krakowskim. Wojciech Piechowski (1849-1911), malarz, rysownik i ilustrator, uczeń m.in. Wojciecha Gersona w warszawskiej Klasie Rysunkowej, w roku 1873 student Akademii Sztuk Pięknych w Monachium, w 1874 uczył się tamże w pracowni Józefa Brandta. Po powrocie do kraju w 1875 r. przebywał w Warszawie lub na prowincji, malując portrety, sceny rodzajowe, niekiedy sceny religijne. Klasę Rysunkową pod kierunkiem W. Gersona i A. Kamińskiego ukończył również Franciszek Ejsmond (1859-1931), który po studiach w Akademii monachijskiej osiadł pod Grodziskiem Mazowieckim. Jego ulubionym tematem było macierzyństwo. Malował też niewielkie obrazy o tematyce rodzajowej, najchętniej ukazujące wnętrza wiejskich chat,



Fot. Leszek Pliachowski

Dawny hotel Angielski przy ul. Dojazd (dziś hotel „Polonia”, ul. J. Piłsudskiego

portrety, sceny z polowań i obrazy religijne. Od roku 1880 wystawiał w Monachium, w roku 1881 zaczął brać udział w wystawach w warszawskiej Zachęcie i Salonie Krywulta oraz w Towarzystwie Przyjaciół Sztuk Pięknych w Krakowie.

Związany z Krakowem Antoni Gramatyka (1841-1922) uczył się w latach 1866-1870 w krakowskiej Szkole Sztuk Pięknych u W. Łuszczkiewicza i J. Matejki, potem do roku 1872 w akademii wiedeńskiej i ponownie w latach 1877-1879 w Krakowie. Wystawiał od roku 1866 w TPSP w Krakowie, od 1872 w TZSP w Warszawie, od 1880 w Salonie Krywulta. Specjalizował się głównie w cieszących się dużym powodzeniem pejzażach z okolic Krakowa i scenach rodzajowych z życia wsi i w mieście, malował również portrety oraz sceny historyczne i religijne.

Mieszkający również w Krakowie Aleksander Gryglewski (1833-1879), po studiach w krakowskiej Szkole Sztuk Pięknych w latach 1852-1858, dzięki stypendium Zofii Potockiej przez 2 lata studiował w Monachium, dokąd wyjechał w roku 1858 razem z zaprzyjaźnionym z nim Matejką. Od roku 1877 wykładał perspektywę w krakowskiej Szkole Sztuk Pięknych. Gryglewski sławny był ze swoich widoków architektonicznych i wewnątrz oraz pejzaży miejskich. Poza Krakowem jego prace od roku 1862 były ekspozowane w warszawskiej Zachęcie, od 1880 w Salonie Ungra i od 1881 r. wielokrotnie w Salonie Krywulta.

Wspomniany w artykule obraz Correggia (Antonio Allegri) był zapewne kopią jednego z dzieł tego renesansowego malarza włoskiego.

Owe „mniej szczęśliwie dobrane obrazy”, jak określił je recenzent wystawy, powstały zapewne w warsztatach częstochowskich cechowych malarzy dewocyjnych, sporadycznie wykonujących malowidła ze scenami rodzajowymi, martwe natury, czy landszafty, jak np. zmarły w 1837 r. mistrz kunsztu malarskiego August Słowikowski. Dobrym, jeżeli nie wysokim poziomem artystycznym cechowały się natomiast prace kilku częstochowskich malarzy profesjonalnych. Wziętym portrecistą był Piotr Cieślowski, „artysta sztuki wyzwolonej”, po studiach w krakowskiej Szkole Malarstwa i Rysunku w połowie lat trzydziestych XIX wieku przyjechał do Częstochowy, gdzie zmarł w 1863 roku. Powszechnie szanowany i doceniany za dużą biegłość malarską stworzył wiele obrazów dla kościołów, malował też kompozycje na motywach ze Starego Testamentu, np. przechowywany w częstochowskim Muzeum obraz *Samson i Dalila* z roku 1835. Rodowity częstochowianin Ma-

teusz Mączyński (1840-1913) absolwent warszawskiej Szkoły Sztuk Pięknych z roku 1860, gdzie uczył się m.in. w pracowni Marcina Zaleskiego i Chrystiana Braslauera, prowadząc wspólnie z ojcem Franciszkiem, mistrzem cechu malarskiego dochodową pracownię obrazów religijnych, nie zaniechał malowania krajobrazów, scen rodzajowych, widoków wnętrz architektonicznych oraz portretów. W Muzeum Częstochowskim znajduje się jego pejzaż z roku około 1880 zatytułowany *Kościół w Olszynie*. W roku 1947 pracownik Muzeum Regionalnego w Częstochowie Hanna Hohensee przygotowała wystawę przedstawiającą twórczość rodu Mączyńskich – Franciszka (1818-1884), Mateusza i jego syna Józefa (1871-1957). Autorce udało się pozyskać kilkanaście prac Mateusza Mączyńskiego, m.in. z domów mieszczan częstochowskich. Były to głównie niewielkich rozmiarów obrazy z wnętrza architektury sakralnej i mieszkalnej, a także portrety².

Częstochowska elita miała też możliwość nabywać dzieła mieszkających tutaj czasowo profesjonalnych artystów warszawskich. W Częstochowie w latach 1862-1883 działało trzech twórców skierowanych przez władze rosyjskie do częstochowskiego rządowego gimnazjum na stanowisko nauczycieli rysunku i kaligrafii.

Najkrócej przebywał tu Adam Lerue (1825-1863), malarz, rysownik, litograf, zasłużony inwentaryzator zabytków. W latach 1844-1851 studiował w warszawskiej Szkole Sztuk Pięknych. Należał do tzw. „cyganerii” warszawskiej skupionej wokół Marcina Olszyńskiego. Wziął udział w zorganizowanej w roku 1858 w Warszawie Wystawie Krajowej Sztuk Pięknych, pierwszej od zakazu z roku 1848. Był jednym z inicjatorów (obok W. Gersona) powołania warszawskiego Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych. W latach 1850-1859 wykonał wiele rysunków inwentaryzacyjnych do tzw. Albumów Kazimierza Stronczyńskiego, kilkutomowego wydawnictwa zatytułowanego *Opisy i widoki zabytków w Królestwie Polskim*, przygotował również samodzielne publikacje. Nakaz pracy w Częstochowie dostał w roku 1862 i tutaj zmarł rok później. Po jego śmierci przez 10 lat rysunku i kaligrafii uczył Adrian Mikołaj Głębocki. Urodzony 1833 r. w Pankach niedaleko Częstochowy, w latach 1850-1857 studiował w warszawskiej Szkole Sztuk Pięknych u Ksawerego Kaniewskiego i Rafała Hadziewiczza. Od roku 1861 wystawiał

² Opracowany przez H. Hohensee maszynopis katalogu do wystawy przechowywany jest w Muzeum Częstochowskim.

w Towarzystwie Zachęty Sztuk Pięknych w Warszawie. W stolicy pracował jako dekorator teatralny, ilustrator i litograf, uprawiał malarstwo i rysunek, głównie o tematyce rodzajowej, historycznej i religijnej, tworzył cykle rysunkowe. Wiele jego prac powstało w Częstochowie, m.in. o tematyce jasnogórskiej, jak np. album z akwarelami przedstawiającymi tamtejsze zabytki, *Przybycie kompanii na Jasną Górę* (1868) i *Żebrak na Jasnej Górze* (1868) (w zbiorach Muzeum Częstochowskiego). Dokumentował też zabytkowe budowle sakralne w okolicach Częstochowy oraz okazy etnograficzne. Wykonał obrazy do kilku pobliskich kościołów. W roku 1873 powrócił do Warszawy. Zmarł tam w roku 1905.

W tym samym roku przybył do Częstochowy Władysław Dmochowski. Urodzony w Wilnie w roku 1838 w rodzinie znanego malarza Wincentego Dmochowskiego i Salomei z Orłowskich, początkowo kształcił się w kierunku artystycznym w rodzinnym mieście, następnie prywatnie w Paryżu, m.in. w pracowni Juliusza Kossaka. W 1862 r. wrócił do kraju, w roku 1866 osiadł w Warszawie, gdzie m.in. zajmował się ilustrowaniem czasopism – „Tygodnika Ilustrowanego”, „Kłósów” i „Wieńca”. Tworzył także obrazy w technice olejnej i akwarelowej, najczęściej o tematyce rodzajowej oraz sceny z udziałem koni – polowania, przejażdżki. Od roku 1872 był członkiem rzeczywistym TZSP w Warszawie. Po otrzymaniu uprawnień nauczania w szkołach państwowych, został nauczycielem w Instytucie Głuchoniemych w Warszawie a w roku 1873 skierowano go do Częstochowy, gdzie przebywał ponad 10 lat. W Częstochowie wykonał 22 rysunki z natury do wydanego w Warszawie w 1877 r. albumu *Widoki Częstochowy i Jasnej Góry z opisem*. Tekst napisał Bronisław Grabowski, literat, sławista, absolwent Szkoły Głównej, dyscyplinarnie przeniesiony do gimnazjum częstochowskiego. Rysunki Dmochowskiego opracowano w Drzeworytni Warszawskiej, a odbito w Zakładzie Typo-litograficznym Wilhelma Kohna i Adolfa Oderfelda w Częstochowie. Zgodnie z ówczesną modą pojedyncze egzemplarze tych drzeworytów oprawiano i zawieszano w mieszkaniach. Nabywano także ryciny i litografie innych autorów, przedstawiające zazwyczaj portrety sławnych Polaków, głośnie bitwy i wydarzenia historyczne, sceny rodzajowe, widoki miast, kościołów, zamków oraz krajobrazy.

Dzięki Julianowi Fuchsowi który bezpłatnie udostępnił reprezentacyjne wnętrza w swoim Hotelu Angielskim - od połowy lipca do 20 września 1889 r.

trwała ruchoma, sprzedażna wystawa obrazów, rzeźb i sztuki stosowanej. Przed Częstochową ekspozycja gościła w Radomiu i Łodzi. *„Pierwszej niedzieli po otwarciu wystawy zwiedziło ją 120 osób; był to punkt kulminacyjny powodzenia, bo odtąd nawet w dni świąteczne liczba zwiedzających... pięćiu nie przekroczyła, a dni, w których ani jednego nie sprzedano biletu, nie należą do zbyt rzadkich. A przecież Częstochowa jest miastem ludnym i bogatym; zdawało by się przeto, że wystawa z celem tak sympatycznym powodzenie mieć będzie. Zimna rzeczywistość najwyraźniej przedyła temu słusznemu stwierdzeniu. Jakkolwiek oddział obrazów i rzeźb treści religijnej skąpo i niezbyt doborowo jest zaopatrzony, jednak i to, co jest, na protekcję zasługuje”*. Opinię tę wyrażał częstochowski korespondent „Tygodnia” żywiący nadzieję, że sztuką o tematyce sakralnej zainteresują się również przybywający na Jasną Górę kapłani: *„Częstochowa, jako ważne i pierwszorzędne ognisko kultu religijnego, jest bez wątpienia najdogodniejszym na taką wystawę punktem. Dziesiątki, nieledwie setki księży przemknęli się przez święty gród podczas lata; wartoby więc wystawę obejrzeć, coś kupić, szych parafian do kupna lub obstalunku zachęcić, ułatwić, ukłonić, ciemnym drogę wskazać. Oto piękne, a w skutkach wdzięczne, zadanie duchowieństwa*.

Przedstawione prace należały do kilkunastu artystów warszawskich, którzy w marcu 1888 r. – w opozycji do ówczesnych władz Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych - założyli w Warszawie Salon Artystyczny, udziałowe przedsiębiorstwo handlowe, zarejestrowane pod nazwą Spółka Artystyczna Malarzy, Rzeźbiarzy i Budowniczych. Udziałowcami byli m.in. malarze Wojciech Gerson, Ludwik Wiesiołowski, Kazimierz Mirecki, Stanisław Heymann, rzeźbiarz Michał Godecki i Karol Kryński, architekci Konstanty Wojciechowski i Karol Kozłowski. Spółka przygotowywała wystawy oferujące prace z zakresu sztuki i rzemiosła artystycznego oraz pośredniczyła w sprzedaży i przyjmowaniu zamówień, przede wszystkim dla kościołów. Od początku w Salonie działała Alfonsa Kanigowska, malarka związana z Częstochową. Urodzona w roku 1858 w Warszawie lub w Sulejzryzu na Mazowszu, około roku 1863 zamieszkała w Rudnikach w powiecie częstochowskim, gdzie jej ojciec Włodzimierz Kanigowski zbudował zakład wapienny. Nauki pobierała w Warszawie w prywatnej szkole malarstwa i sztuki stosowanej Bronisławy Poświkowej (w której uczył ją m.in. Kazimierz Alchimowicz), w szkole Wojciecha Gersona, później w Paryżu, odbyła też wiele podróży

artystycznych. Przebywała w Warszawie lub w rodzinnej posiadłości pod Częstochową i tam zmarła w 1948 roku. Tematem jej obrazów były martwe natury, pejzaże, sceny rodzajowe i historyczne, portrety, przedstawienia religijne, zajmowała się też sztuką użytkową. Oprócz Salonu, systematycznie wystawiała w warszawskiej Zachęcie, w Salonie Krywulta, w Towarzystwie Przyjaciół Sztuk Pięknych w Krakowie. Być może to z jej inicjatywy handlowa, objazdowa wystawa przygotowana przez Salon Artystyczny trafiła do Częstochowy. Kanigowska wchodziła w skład tzw. „delegacji”, oceniającej wartość artystyczną prac udziałowców. W Spółce poza Kanigowską udzielały się inne artystki, m.in. Ludwika Kotarbińska, Bronisława Poświkowa, Zofia Stankiewicz, a ich prace - zwłaszcza z dziedziny sztuki użytkowej - cieszyły się dużą popularnością. Przechowywane w Muzeum Częstochowskim obrazy Alfonsy Kanigowskiej powstały w latach studenckich oraz po roku 1890. Swoje kompozycje być może zaprezentował Marcin Kasiewicz (1834-1898), którego kariera malarska zaczęła się w Częstochowie, a który mieszkając później w Warszawie, od roku 1878 wystawiał w Zachęcie, od 1888 brał udział w wystawach Salonu.

Współzałożyciel Salonu Artystycznego Wojciech Gerson (1831-1901) był jednym z najwybitniejszych przedstawicieli warszawskiego środowiska artystycznego. Po ukończeniu warszawskiej Szkoły Sztuk Pięknych, gdzie uczyli go m.in. Jan F. Piwarski, Chrystian Breslauer, Marcin Zaleski, jako stypendysta studiował w petersburskiej Akademii Sztuk Pięknych. Brał udział w artystycznych wędrowkach po kraju, inwentaryzując zabytki przeszłości. Związany z warszawską „cyganerią”, współtworzył życie artystyczne stolicy, także jako nauczyciel w rządowej Klasie Rysunkowej, właściciel prywatnej szkoły, organizator wystawiennictwa, m.in. inicjator powstania Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych w 1860 r. oraz krytyk sztuki i publicysta.

W. Gerson był autorem polichromii, obrazów olejnych, rysunków i ilustracji. Zajmował się przede wszystkim malarstwem historycznym, rodzajowym, krajoobrazowym. Namalował kilkadziesiąt kompozycji religijnych. Na wystawie Salonu Artystycznego w Częstochowie Gerson mógł m.in. pokazać obraz przedstawiający Chrystusa na Krzyżu. Obraz o tej tematyce znajduje się w ołtarzu głównym w kościele parafialnym w Miedźnie pod Częstochową. Jest to jedna z replik namalowanych przez artystę w latach siedemdziesiątych XIX wieku. Inna z replik trafiła do

kościola w Bejskach. Wystawę obejrzało około 300 osób, przede wszystkim inteligencja, przy znikomym zainteresowaniu klas niższych. „Tydzień” podkreślał również niewielki dochód ze sprzedaży, a podobna sytuacja miała miejsce również w Radomiu i Łodzi.

Julian Fuchs oprócz malarstwa wspierał inne dziedziny sztuki. W Częstochowie organizował towarzystwo śpiewacze, koncerty, przedstawienia teatralne, sponsorował wydawnictwa, np. drukował pisma humorystyczne Faustyna Świderskiego z Mzurowa, piszącego dla piotrkowskiego „Tygodnia” pod pseudonimem Ex-bocian. Angażował się także w różnorodną działalność charytatywną i społeczną, m.in. w roku 1871 został jednym z założycieli Straży Ogniowej Ochotniczej i wieloletnim jej prezesem, finansował uporządkowanie parków, zabiegał o budowę nowego kościoła parafialnego, wspomagał biednych i poszkodowanych, udzielał pożyczek. Wśród pań z towarzystwa, zajmujących się dobroczynnością, znajdowała się też Helena Fuchs, jego siostra.

Kiedy Fuchs zmarł 17 marca 1894 r. w wieku zaledwie 48 lat, jego pogrzeb zgromadził kilka tysięcy mieszkańców Częstochowy i okolic. Uroczystości żałobne odprawili ks. Wróblewski, ks. kanonik Nowakowski i ks. Nawrocki z Mykanowa. Trzy tygodnie po śmierci Juliana, 3 kwietnia 1894 r. w wieku 75 lat umarła jego matka Karolina z Boguckich, 1-voto Fuchsova, 2-voto Wodzińska. W roku 1895 Edmund Wodziński rozpoczął na cmentarzu parafii św. Zygmunta budowę rodzinnego mauzoleum, w którym miały także spocząć szczątki Juliana Fuchsa. De facto nagrobek Fuchsov na cmentarzu Kule powstał w roku 1895. Rzeźbę nagrobkową z postacią N.P. Marii Niepokalanej zaprojektował jeden z najwybitniejszych warszawskich rzeźbiarzy, Andrzej Pruszyński, twórca postaci Chrystusa upadającego pod krzyżem przed kościołem św. Krzyża na Krakowskim Przedmieściu. Realizacją tą zwieńczyła związku Juliana Fuchsa ze sztuką warszawską.

Anna Dylewska

Artykuł jest fragmentem przygotowywanego opracowania nt. życia kulturalnego, artystycznego i towarzyskiego Częstochowy w XIX wieku.

Truchcikiem po galeriach

Tomasz Musiał - Architektura PTCL

W Konduktorowni odbył się wernisaż pochodzącego z naszego miasta młodego artysty plastyka Tomasza Musiała, obecnie nauczyciela w łódzkiej Akademii Sztuk Pięknych. Autor w kilkunastu kompozycjach malarskich o dużych gabarytach odwołuje się do własnych przeżyć, związanych z walką z chorobą określaną przez lekarzy jako chłoniak PTCL – chorobą prowadzącą do destrukcji organizmu i nieuchronnej śmierci. Ten traumatyczny czas zmagania się ciała i duszy z wyniszczającym PTCL przekształcił Musiał w cykl obrazów o entropii – rozpadzie architektury, jakby w symbolicznym kontekście do osobistej przestrzeni życia. Sam stwierdza, że odczuwał wyniszczającego go raka jako terrorystę, dążącego do gwałtownego zdestruowania go jako człowieka. Prawie wszystkie prace wyobrażają konstrukcje architektoniczne, nasyczone swoistą ekspresją, zwykle świetlistego, usztywnionego, rytmizowanego śladu malarskiego. Ten gest malarski zarejestrowany na płótnie wykonany jest techniką biczowania podobrazia skórzanym rzemieniem. Mamy więc również w tych przedstawieniach fizyczne odniesienie, a właściwie zrównanie ciała z obrazem. Jest to poziom organicznego bólu i niecodziennych związków pomiędzy dziełem a jego autorem.

Musiał prezentował swoje prace na wielu prestiżowych wystawach, m.in. otrzymał nagrody na XII Ogólnopolskim Salonie Plastyki „EGERIA 2004”, Biennale Sztuki Młodych „Rybie Oko” w Słupsku (2008), Festiwalu Sztuki Młodych „Przeciąg” w Szczecinie (2009), został również zaproszony do udziału w Triennale Sztuki Najnowszej w Częstochowie i brał udział w wystawie „Cztery przestrzenie sztuki” (2008). Jest artystą progresywnym, poszukującym. Oprócz malarstwa realizuje prace rysunkowe, wchodzi również w artystyczne konteksty związane z performance czy wideoartem. Jego cykl malarski „podwójne portrety”, nie prezentowany na wystawie w Częstochowie, zbiera pochlebne opinie polskiej krytyki artystycznej. Obecnie artysta jest w przededniu doktryzowania się na łódzkiej ASP. Przewycięzył terrorystę PTCL.

Edward Dwurnik - Poczłtówka z Częstochowy

Działalność artystyczna Edwarda Dwurnika znana jest nie tylko w Polsce, od lat mówi się o niej w Europie. Artysta, urodzony w 1943 r., ukończył Akademię Sztuk Pięknych w Warszawie na Wydziale Malarstwa (1971), ucząc się pod kierunkiem profesorów Eibischa i Arcta. Maluje od początku cyklami, kilka najważniejszych: „Robotnicy”, „Sportowcy”, „Głowy”, „Podróż autostopem”, „Sztandary”, „Miasta”. W cyklu „Miasta” stosuje swoisty nifikoryzm, nawiązujący stylistycznie do twórczości Nikifora Krynickiego. Są to wielkoformatowe obrazy, pokazujące rzeczywistość jakiegoś wybranego miasta z góry, z lotu ptaka. Ta trochę bosko-ptasia perspektywa uprawnia autora do swobodnego całościowego wglądu w życie danego polis, w jego architektoniczne i społeczne rytmy.

Na wystawie w Konduktorowni „Zachety” znalazł się również obraz o Częstochowie. Taka sobie duża pocłtówka, przedstawiająca wszelakie, różnorodne życie naszego miasta – miasta o religijno-pielgrzymkowym charakterze. Obraz kolorowy, podpisany „Jasna Góra, Częstochowa, 2005”, przypominający o peregrynacjach pielgrzymkowych, wyobraża w sposób trochę komiksowy inwazję wiernych na klasztor paulinów. Sama architektura naszego grodu rozplanowana jest dość dowolnie w odniesieniu do rzeczywistego stanu. Widzimy zabudowę klasztoru, podjasnogórskie błonia, parki, aleje, którymi zamiast pielgrzymów wędrują drzewa, a może są zasadzone i blokują dojście do klasztoru. Oprócz „Pocłtówki z Częstochowy” i innych miast interesujących malarza, na wystawie znalazł się szereg przedstawień wyobrażających naszych przywódców religijnych i politycznych oraz typowych przedstawicieli różnych grup społecznych. Wszystko bardzo kolorowo, komiksowo, krzywozwiernie, z poczuciem humoru namalował Edward Dwurnik.

Marian Panek



Fotografia Technologia - estetyka - historia

Biblioteka Główna AJD udostępniła sale wystawowe Instytutowi Plastyki, który przygotował ekspozycję w związku z obchodzoną w 2009 roku 170-leciem przekazania nowej technologii „światu na użytek”. Wystawa, której kuratorem jest prof. Jerzy Piwowarski, została otwarta po zakończeniu przerwy międzysemestralnej. Tym razem zaproszenie pełniło także rolę mini-katalogu.

Wystawa obejmuje publikacje z zakresu technologii i historii fotografii, ale także publikacje o fotografii traktowanej jako sztuka, od pierwszych lat XX wieku do chwili obecnej, w tym m.in.: podręcznik o charakterze technologicznym „Fotografia praktyczna w zarysie do użytku amatorów” Józefa Switkowskiego (Lwów 1903), książka Władysława Witwickiego „Podstawy kultury estetycznej” (Lwów 1907), będąca pierwszą publikacją o fotografii opisanej jako sztuka, zawierająca ważne refleksje Roberta de la Sizeranne’a z doświadczeń Fotoklubu Paryskiego, „Fotografia. Zarys fotografii artystycznej” Jana Bulhaka (Warszawa 1931), „Fotografia: technika i technologia” Tadeusza Cypriana (Warszawa 1953-1970), „Fotografia ojczysta” Jana Bulhaka (Wrocław 1951), „Nauka o fotografii” Andreasa Feiningera (Warszawa 1987), czy książka będąca tłumaczeniem encyklopedii Larousse’a „Wszystko o fotografii”.

Wystawa przypomina też książki, które zaczęły się pojawiać w latach 60. XX wieku na rynku księgarskim, a które były opracowaniami poświęconymi historii rodzimej fotografii, m.in.: monografia „Jan Bulhak” Lecha Grabowskiego (Warszawa 1961), unikatowa „Historia fotografii polskiej w latach 1839-1889” Aleksandra Macieszy, „Zacząło się od Daguerre’a” Wacława Zdzarskiego (Warszawa 1977), „Spojrzenie w przeszłość polskiej fotografii” (Warszawa 1982).

By nie pozostać tylko obserwatorem historii publikacji z tego zakresu, Pracownia Fotografii Instytutu Plastyki AJD także prowadzi działalność wydawniczą, przybliżając zainteresowanym efekt prowadzonych peregrynacji. Nie wolno bowiem zapomnieć, że od lat 80. są prowadzone badania, które zainicjował prof. Aleksander Zakowicz, do którego dołączył prof. Jerzy Piwowarski, nieco później Dariusz Plesniak, Kazimierz Gajewski oraz na krótko Bogumil Rolek. W mini-katalogu czytamy: „...badania zaowocowały publikacjami dotyczącymi wybranych zagadnień historii polskiej fotografii. Oprócz artykułów publikowanych m.in. w ukazujących się od 1986 r. Zeszytach Naukowych WSP/AJD, były też autorskie - lub współautorskie - druki zwarte. Dotyczyły one m.in. bibliografii wydawnictw specjalistycznych po 1956 r., fotografii lwowskiej, galicyjskiej, tatrzańskiej oraz wystawiennictwa w okresie międzywojennym”.

Warto dodać, że wydawnictwa są tak wyekspozowane, by przy okazji ilustrowały zmiany w projektowaniu graficznym.

Joanna Grochowska

Oswajanie lęku

**Z Magdą Hueckel, fotografką,
podróżniczką i scenografką,
rozmawia Janusz Mielczarek**

Twoja częstochowska wystawa fotografii ma miejsce w Galerii WOK-Art, przy ul. Ogińskiego, gdzie po drugiej stronie ulicy, w szkole nr 11, pół wieku temu uczyła się Twoja mama, Krystyna Gawlikowska, dziś mieszkanka Londynu i od dwóch lat przedstawiciel Polski w ważnej instytucji międzynarodowej.

Częstochowa, a zwłaszcza osiedle gdzie jest Galeria, w której rozmawiamy, są mi szczególnie bliskie i na swój sposób magiczne. Kilka domów stąd, przy ul. Słowackiego, mieszkali moi dziadkowie, których jako dziecko odwiedzałam w czasie wakacji. Pamiętam tu każdy trzepak i kryjówki do zabawy w chowanego. Dwa lata temu Sławek Jodłowski zaprosił mnie do jurorowania w konkursie „Cyberfoto” a teraz jestem tu ze swoimi fotografiami.

Jako absolwentka Akademii Sztuk Pięknych w Gdańsku (kierunek grafika, specjalizacje: fotografia i scenografia) jesteś dobrze przygotowana do profesji artysty. Studiowałaś również w Wysokiej Szkole Wytwornych Umień w Bratysławie (Słowacja) i Schule fuer Gestaltung w St. Gallen (Szwajcaria). Należysz do Związku Polskich Artystów Fotografików oraz francuskiego Fot Art Association. Od 2005 r. jesteś wykładowcą w Studium Fotografii ZPAF. Czyli życie z fotografią i dla fotografii.

Niezupełnie, ale bardzo blisko. Jestem osobą sentymentalną a fotografie postrzegam jako magię. Chociaż kamera fotograficzna stworzona została do rejestrowania rzeczywistości, to jednak będąc narzędziem w rękach artysty wychodzi daleko poza to, co widzi się gołym okiem.

Wiemy doskonale, że publiczność woli jak jest „lekką, łatwą i najładniej kolorowo”. Twoja dotychczasowa twórczość temu zaprzecza. Siegasz m.in. po obrazy obsesyjne, stany rezygnacji i złych snów.

Pojęcie piękna jest względne. W moim przekonaniu artysta musi sobie odpowiedzieć na pytanie: czy jest autentyczny w tym co robi i do czego zmierza.

Czy nie jest tak, że zonglujesz obsesjami aż do bólu bo: jesteś młoda i daleko ci - przynajmniej teoretycznie - do stanów choroby, rozkładu i unicestwienia, jakie przy pomocy fotografii opowiadasz swoim ciałem; pragniesz szokować turpistycznymi wizjami.



Fot. J. Mielczarek

Jestem wierna temu, o czym mówiłam wcześniej – najważniejsze jest bycie autentycznym. Pokazuję stany, które są we mnie, a myślę, że także w każdym z nas. Ja tylko trochę więcej dostrzegam. Mam sporo czulszy i mniej zakurzony wizjer, przez który zaglądam do mojego wnętrza. Moje lęki idą ze mną od najmłodszych lat. One we mnie jeszcze mieszkają. Mam świadomość bezradności wobec upływu czasu, chorób, nieuchronności śmierci, czego boimy się wszyscy. Jednocześnie przez taką fotografię staram się działać terapeutycznie, oswajając lęki, nie dusić ich w sobie i zamieniać na fakty pozytywne, służące tak bardzo potrzebnej mi wewnętrznej przebudowie. Wiem, że moja fotografia, jak ją nazwałeś „ze skraju przepaści”, zadziałała terapeutycznie na inne osoby, odciągając je od tego „skraju”. To bardzo ważny sygnał dla twórcy.

Krytycy idą jeszcze dalej. Zacytuję fragment tekstu Katarzyny Majak z katalogu twojej wystawy w Galerii Piekary w Poznaniu w roku 2009: „Podczas gdy powszechnym pragnieniem jest żyć jak najdłużej, kiedy życie z myślą o śmierci czy cierpieniu nie mieści się już w doświadczeniu współczesności, Hueckel, być może nie do końca świadomie, podejmuje również inny aspekt wypartego i stłumionego lęku przed przemijaniem. Wynika on choćby z włączenia śmierci czy starzenia się w cykl konsump-

cji, czy medykalizacji, w wyniku której przejmuje się pełną opieką nad umierającymi i cierpiącymi. Proces ten związany jest z deprecjacją struktur rodzinnych i wspólnotowych, zanikaniem tradycji umierania w domu i rodzenia się w domu”.

Nie zawsze zgadzam się z tym, co o mnie piszą, ale zacytowana Katarzyna Majak robi to w sposób trafny. Wracając do wystawy, ta w Częstochowie formalnie i artystycznie składa się z dwóch części. To ważny dla mnie moment: z jednej strony obrazy moich obsesji i lęków, od których powoli odchodzę; z drugiej - fotografie natury, ku którym zmierzam.

Wiele podróżujesz. Wśród poznanych wyrywko-wo twoich prac najbliższe są mi „autoportrety wy-ciszone”. Zderzenie na nich twojej sylwetki z pustymi przestrzeniami różnych klimatów i szerokości geograficznych - moim zdaniem - w sposób szczególnie rejestruje twój i nasz niepokój egzystencjalny. Przecież za bezkresnymi, pustymi horyzontami kotłuje się nasz sielsko-wojenno-straszny świat. Zapraszając widza do zajęcia miejsca obok siebie, dajesz mu chwilę marzeń, więcej - chcesz przekonać, że to co za horyzontem, wcale nie musi być jego udziałem. Że warto być innym, lepszym i zabiegać o to.

FOTOGRAFIA

Cieszysz się, że tak to odbierasz. „Autoportrety wy-ciszone” zaczęły powstawać w 2006 roku właśnie w czasie podróży, we współpracy z Tomkiem Śliwińskim. Ostatnio moja twórczość zwraca się ku dokumentowaniu. Mam wiele materiału z licznych wояży. Od kilku lat zamierzam stworzyć subiektywny dokument z pogranicza inscenizacji i dokumentacji. Przygotowuję się do tego z dużą energią.

Mimo zaledwie paroletniej aktywności twórczej, miałaś wystawy indywidualne, uczestniczyłaś w projektach i festiwalach w Polsce i za granicą. Którą wystawę uważasz za ważną dla siebie artystycznie, a na której gościłaś najbardziej spontaniczną publiczność?

To często idzie w parze. Ale odpowiadając, ważna dla mnie była wystawa w Galerii „Piekary” w Poznaniu w 2009 roku. Były tam fantastyczne możliwości działania przestrzeni, kolorem ścian, formą instalacji, oświetleniem. Teatr przenikał się z fotografią. Była to uczta dla mnie jako scenografa, gdzie poprzez energię moich prac i pozostałych elementów mogłam działać na wyobraźnię widzów. Inaczej, ale również wspaniale czułam się w Galerii „Wozownia” w Toruniu. Na wystawę przyszło dużo publiczności akademickiej. Byli wspaniali, wrażliwi, wiele dostrzegający w tych przestrzeniach fotografii, na których mi tak zależy. Zadawali mnóstwo pytań i dlatego wernisaż trwał kilka godzin.

Zazdroszczę Ci koneksji teatralnych.

Są dla mnie cenne i ważne. Poza pracą w Teatrze Współczesnym w Warszawie, współpracuję z Teatrem Nowym Krzysztofa Warlikowskiego i Teatrem Ateneum. Jest bardzo ciekawie, zwłaszcza u Warlikowskiego.

Masz swoich mistrzów?

Podziwiam wielu ale bezpośrednio żadnego z nich nie naśladowę. Obserwuję otoczenie, wiele czerpię z życia codziennego, filmu, teatru. Staram się nie negować propozycji odległych od moich. Sztuka podąża przecież w różnych kierunkach.

Jesteś kobietą – fotografem, ale nie zwolnij Cię od pytania o technikę.

Odbitki bromowe wykonuję samodzielnie w ciemni instalowanej w... kuchni. Tylko raz (ze względu na brak czasu) zleciłam wykonanie odbitek zaufanej osobie, ale i tak nie czułam się z tym dobrze. Fotografuję Nikonami: uwielbiam przeze mnie analogowym F-5 i cyfrowym D-300. Niedawno zapożyczyłam się i nabyłam do nich trzy dobre, jasne szkła (obiektywy), świetnie sprawujące się także w fotografii teatralnej, którą uprawiam z dobrym skutkiem.

Dziękuję za rozmowę.

Janusz Mielczarek



Fot. M. Hueckel

Nie lubię wywiadów

Z Agatą Ochotą-Hutyra,
aktorką Teatru im. Adama Mickiewicza,
rozmawia Dominika Radkowska

Dominika Radkowska: *Od wielu lat mieszkasz w Częstochowie, lata studenckie spędziłaś we Wrocławiu. Gdzie są Twoje rodzinne strony?*

Agata Ochota-Hutyra: Pochodzę z Puław. Blisko jest Kazimierz nad Wisłą, dokąd jeździliśmy z przyjaciółmi rowerami wzdłuż Wisły. Wtedy jazda była ciężka, teraz jest wybudowana droga po wale wzdłuż rzeki. Jest taki trójkąt: Puławy, Kazimierz, Nałęczów. Nałęczów pozostał ośrodkiem wypoczynkowo-sanatoryjnym, Kazimierz – artystycznym, Puławy też miały takie tradycje, ale po powstaniu Zakładów Azotowych zmienił się charakter miasta. Ale jest tam nadal dużo atrakcyjnych miejsc – cudowny park Czartoryskich, zespół pałacowy, nadbrzeża Wisły...

Nie tęsknisz za tak pięknymi miejscami?

Lubię tam jeździć, mam tam najbliższą rodzinę. Więc myślę o tamtych stronach. Można powiedzieć, że tęskni się nie tylko za miejscami, gdzie człowiek się urodził, wychował, ale też za tymi, w których spędził miły czas, np. czas studiów.

Z jakim nastawieniem przyjechałaś do Częstochowy? Wiedziałaś, że osiadziesz tutaj, czy myślałaś, że to tymczasowe miejsce?

To było tak dawno (śmiech)... Nie wiem, czy to ma teraz jakiegokolwiek znaczenie. Mając dwadzieścia dwa lata nie myśli się, że coś jest na stałe, na wieczność, nie rozpatruje się tak. Nie przywiązywałam wagi do tego.

Jaka siła sprawcza – osoba, wydarzenie – wciągnęła Cię w teatr, spowodowała, że zaczęłaś upatrywać w nim miejsca dla siebie?

Nie przypominam sobie żadnego takiego zdarzenia, „wielkiego wybuchu”, eksplozji i objawienia (śmiech). To chyba samo przyszło. Intuicja? Może podświadomość?

Wchodząc w zawód miałaś wyobrażenie, jaki rodzaj aktorstwa Cię interesuje?



Fot. Piotr Dłubak

Nie rozpatrywałam tego w ten sposób. Już teraz nie do końca pamiętam, jaka byłam i co myślałam dziesięć, piętnaście lat temu, ale wydaje mi się, że po prostu chciałam pracować – dużo, sprawdzać się w różnych rolach.

Byłaś nagradzana przez ludzi teatru (Złota Maska 1995), zostałaś też laureatką Nagrody Prezydenta Częstochowy (2007). Ważnym gremium nagradzającym, choćby oklaskami i satysfakcją, jest też publiczność. W jakiej roli odczuwasz z jej strony tego uznania najwięcej?

W jaki sposób to odczuwamy my aktorzy? Ktoś przychodzi, dzwoni, dostaje listy? Nie wiem. Jeżeli jest dobry spektakl, wiem co gram i się w tym realizuję i robię wszystko, na co pozwala dany dzień – to czasami jest takie odczucie, taki rodzaj energii – czuje się, że ludzie to „kupują”, odczuwają, słuchają. To są cenne sygnały od widzów, których się nie zna, a zaczynają mówić o spektaklu – o tym, że coś ich poruszyło, potargano. Albo ktoś, kto nas zna, powie: zupełnie inaczej cię zobaczyłem, coś mnie zaskoczyło, nie poznałem cię. To już jest coś. Jeśli mówimy o sferze odczuć, to są sekundy, krótki czas, w którym wiesz, że to co robisz, przebiega się przez rampę i wraca do ciebie. Miałam takie nieoczekiwane zdarzenie grając „Iwone, księżniczkę Burgunda”. Nie był to spektakl, który bym jakoś szalenie kochała. Rola Iwony była dość niewdzięczna, trudna. Kiedyś po spektaklu dostałam od pewnego widza, teatromana olbrzymi kosz czerwonych róż. Było to zaskakujące, miłe, niezwykle. Był na „Iwone...” kilka razy. Spektakl bardzo mu się podobał. Okazuje się, że nie można się tak zasklepiać i wierzyć tylko swoim odczuciom, co jest dobre. Staram się robić jak najlepiej to, co robię. Chciałabym, żeby to, co gram, nie było obojętne, żeby zostawiało coś w ludziach. A czy zostawia, tego już nie wiem.

W Twoim odczuciu – rola najbliższa, grana z przyjemnością.

Sądzę, że to się bardzo zmienia i zależy od etapu, na jakim się jest w życiu, co jest potrzebne, najbliższe. Są rzeczy, które dawno temu grałam i chętnie bym grała znowu, zastanawiając się jak zagrałabym je dzisiaj, po upływie lat. Nie jest to kwestia dnia, humoru, usposobienia, tylko tego, co w człowieku jest. Co przeżył, jak teraz patrzy na siebie i na innych.

Spróbuj przywołać którąś z takich ról.

Patrz, ile lat wstecz musiałabym spojrzeć! (śmiesz) Jak tak daleko sięgnąć pamięcią... To jest tak, że albo jakaś rola była ważna, bo spektakl był bardzo dobry i zaistniał albo na ten dany czas – mój życiowy, to było coś potrzebnego, co głęboko czułam. Albo praca nad nim była tak ciężka, reżyser tak dał w kość, że człowiekowi to zostało na długo. Albo jeszcze z wielu innych przyczyn. Gdybym miała wymienić zaczynając od tego, co najbliższe w czasie: lubię grać w „Wilkach” przy których pracowałam z Andre Ochodlo, dobrze się czuję w roli Rose w „Nocną porą”. Znaczącym i ważnym spektaklem było „Jabłko” reżyserowane przez Tomasza Dutkiewicza. Praca przy spektaklu „Usta przewrotne”, w którym partnerowałam Emilii Krakowskiej – ak-



Fot. Piotr Dłubak



Fot. Piotr Dłubak

torce o silnej osobowości, zostawiła ważny ślad. Także warto wspomnieć o „Moralności pani Dulskiej” w reżyserii Ignacego Gogolewskiego. W „Historii o chwalebny Zmartwychwstaniu Pańskim” grałam śmierć i do każdego spektaklu malowałam całą twarz na kształt „trupiej czachy”, zakładałam łyskę na włosy – przygotowanie do tej roli było bardzo osobliwe. Robi na mnie wrażenie też fenomen sztuki „Mayday” Raya Cooneya, którą reżyserował Wojciech Pokora. To był ogromny pęd, tę sztukę robiliśmy w dwa tygodnie. Jest nieprawdopodobne, że ciągle to gramy, to już trzysta pięćdziesiąte przedstawienie i tytuł na afiszu od dwunastu lat. Wszystko się już sypie – dekoracje, kostiumy i my się sypimy, a sztuka się trzyma (śmiech). I ciągle ludzie na to przychodzą. Jak będę babcią, to na pewno będę pamiętać „Maydaya” (śmiech) – zwariowaną sztukę, w której lataliśmy i trzaskaliśmy drzwiami. Lubiłam też rolę Czki w „Brzydkim kaczątku” w reżyserii Bogdana Cioška – poetyckiej bajce dla dzieci, granej w trudnym dla mnie życiowo czasie. Druga ważna bajka to „Bestia i Piękna” ze scenografią pana Adama Kiliana. Jedna z pierwszych sztuk, w których grałam – nie wiem, czy to był dobry spektakl, czy nie, ale sam materiał literacki jest dobry – to była „Miłość i gniew” Osborne’a. W pamięci mam też grę w „Pannie Julii” Strind-

berga. W tym spektaklu ważna była muzyka Janusza Yaniny Iwańskiego wykonywana na żywo przez niego i Siergieja Rysanowa. Co jeszcze? Pewnie „Łysa śpiewaczka” z racji współpracy z Henrykiem Talarzem – zupełnie zwariowanej – ale po pewnym czasie zupełnie inaczej się na to patrzy. Tu nie było ciepłaka, marazmu, nic nie było oczywiste. Może też wspomniana nieszczęsna Iwona z Gombrowicza, której utkwiała w gardle ość...

Czy masz wrażenie, że Twój typ urody determinuje Twoje role? Czy są role, w których chciałabyś być obsadzona, ale reżyserom nie przychodzi to do głowy ze względu na Twoje warunki zewnętrzne?

Być może często jestem widziana po warunkach, bo to się nasuwa reżyserom najprościej. Specjalnie nie zastanawiam się nad tym, co chciałabym grać. Ciekawe jest dla mnie granie w sprzeczności ze sobą, bo wymaga pogmerania w sobie, szukania, pracy, przedstawienia czegoś w głowie i to jest, myślę, cenne doświadczenie.

Przeżyłaś w teatrze twórcze, rozwijające spotkania na drodze artystycznej ukierunkowujące na coś nowego, lepszego?



Fot. Piotr Dłubak

Twórcze boom, hmm... Nie umiałabym powiedzieć, bo to nie jest jak cięcie – od tej chwili zobaczyłam i uwierzyłam. Myślę, że to jest proces. Jeżeli człowiek chce słuchać, nauczyć się czegoś, coś zmienić, to tak się dzieje i jest szansa, że pozytywnie się zmienia.

Zauważyłam na próbach, że analizujesz rolę, zadajesz reżyserom pytania, żeby z różnych możliwości poprowadzenia postaci wybrać tę najwłaściwszą.

To się nazywa w środowisku „upierdliwość”. Miałam okazję to usłyszeć. To taki zawód, że słyszy się o sobie różne rzeczy – i miłe i niemiłe. Rzeczywiście, lubię wiedzieć, zbudować sobie ten szkielet roli, konieczną bazę. Potem pewne rzeczy intuicyjnie przychodzą, trochę idzie się w jedną lub drugą stronę, ale ten kościecik musi być stały i muszę go znać. W przeciwnej sztuce gramy jakichś ludzi mających konkretne osobowości, więc trzeba ich dociec. Wolę pytać na próbach, niż nie wiedzieć, co grać.

Bierzesz udział w dwóch spektaklach o podobnym szkicu sytuacyjnym. W „Nocną porą” Rebeccy

Lenkiewicz krytycy szukają podobieństw do „Trzech siostr” Czechowa. W dodatku, w obu spektaklach grają jedną z siostr obsadzonych przez te same aktorki. Nie jest to dla was utrudnienie? Czy to podobieństwo ma w ogóle jakieś znaczenie?

Są to zupełnie inne sztuki – tu Czechow, a tu współczesna sztuka irlandzkiej autorki polskiego pochodzenia. Fakt, że gram z tymi samymi koleżankami co w „Trzech siostrach” – Małgorzatą Marciniak i Katarzyną Mazurek – był pomocny, bo już zwyliśmy się i rozumiwały, już nie trzeba było pokonywać międzyludzkich przeszkód, był to kolejny etap do zrobienia. Ale zadania zupełnie inne, nic z Czechowa nie można było przełożyć do gry w „Nocną porą”.

Przed obecnym sezonem teatralnym miałaś pracowite wakacje w soppckim Teatrze Atelier.

Właśnie tam odbyła się premiera „Wilków” Agnieszki Osieckiej w reżyserii Andre Ochodlo. Sztukę przygotowaliśmy w naszym teatrze. Potem pojechalśmy na tydzień prób i tydzień grania do Sopotu. Dla mnie to był aż tydzień, bo grałam w gipsie. Dwa dni przed premierą zerwałam ścięgno Achillesa

i tuż po premierze pojechałam na operację z szyciem ścięgna. Musieliśmy zmienić niektóre sytuacje, że-
bym miała jak najmniej chodzenia, bo gips był wielki,
pokrywał całą nogę. Po spektaklach zaglądaliśmy do
kafelki plażowej, mając styczność z widzami, którzy
też zachodzili na lampkę wina. Zdarzało się, że ludzie
pytali, czy ten gips to tak ma być, czy naprawdę mi się
coś stało.

Twój mąż – Adam Hutyra – jest również aktorem. Sprawy teatralne uczestniczą w Waszym życiu, czy wracając z pracy zostawiacie je za drzwiami?

Różnie to bywa, czasem się po prostu nie da wszystkiego zostawić. Czasem się udaje, czasem nie.

Starasz się zaistnieć poza Częstochową i Teatrem Mickiewicza?

Jest to bardzo trudne, ze względu na to, że jestem tutaj na etacie i gdybym chciała chociażby gościnnie wystąpić w innym teatrze, byłaby trudność w skoordynowaniu tych działań. Na castingi nie jeżdżę często, bo nie lubię tego – szczególnie do reklam. Udział w castingach warszawskich oznacza wyjazdy, a jeśli ma się małe dzieci i męża również aktora, wymaga to przeorganizowania czasu całej rodziny. Trzeba zabrać samochód mężowi, trzeba dzieci skazać na brak obiadu (śmiech). Było kilka takich okazji, że wystarczyło trochę więcej starań z mojej strony i zdobyłabym rolę. Ale nie wiem, czy chciałam. Im dłużej tutaj mieszkamy, tym mocniej odczuwamy obecność stałych, wiernych przyjaciół, na których można liczyć. A jak się dłużej żyje, to się wie, że przyjaźń jest jedną z najcenniejszych rzeczy. Jest wiele sytuacji życiowych, czasem poważnych, a czasem prozaicznych, głupiotkich, w których przyjacielscy ludzie bardzo pomagają. Miło jest też móc po prostu spotkać się z przyjaciółmi w knajpce czy na imprezie. Mam niechęć do wyjazdu do obcego miasta, gdzie trzeba by zaczynać wszystko od nowa. To nie jest kwestia lenistwa, ale poczucie, że wolę takie życie.

A co z Twoim poetyckim śpiewaniem?

Poza graniem na scenie było też śpiewanie. Moja przyjaciółka z liceum, Edyta Czepiel, pisała teksty piosenek. Trudniej było znaleźć kogoś, kto chciałby napisać muzykę. Na początku tych moich prób był jeszcze w Częstochowie Tomasz Kmiecik. Napisał dla mnie piosenki do paru tekstów. Trafiły też do mnie kompozycje Janusza Yaniny Iwańskiego do tekstów Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej i piosenka Andrzeja Młodkowskiego. W Częstochowie nie ma wielu miejsc, gdzie można takie śpiewanie prezen-

tować, a jeśli znajdzie się miejsce, to z odbiorcami jest różnie. Ludzie wolą, żeby było szybko, wesoło, śmiesznie. W tym, co się robi w życiu, nie jest ważne w jakim mieście mieszkamy, ale żeby się realizować – zawodowo, rodzinnie, próbować różnych rzeczy na miarę tej siły wewnętrznej, którą się ma w sobie. Ja, być może, nie mam siły wewnętrznej przebijając się przez warszawskie castingi i być „zrobioną” wizualnie, tak jak to tam jest wymagane. Tego mi się nie chce. Próbuję realizować się nagrywając płyty z tekstami bajek, słuchowisk. W Częstochowie powstało bardzo ciekawie działające studio nagrań – Promatek, które prowadzi Piotr Pogorzelski. To jest bardzo fajna rzecz, która mi się zawsze podobała i której warto by poświęcić dużo czasu, bo to wielkie pole dla wyobraźni. Nagrałam parę materiałów skierowanych do słuchaczy dziecięcych. Prywatnie uwielbiam słuchać audiobooków. Nie wiem dlaczego w Polsce jest taka tendencja, że dla dorosłych czytają mężczyźni. Czy to wynika z tego, że ludzie wolą słuchać męskich głosów? Proszę to zapisać (śmiech) – nie wiem dlaczego rzadkością jest, żeby całą powieść czytała kobieta. Słucham programu II i III Polskiego Radia i tam, jeśli jest coś czytane, to przeważnie przez aktorów mężczyzn. Niektórzy to robią świetnie. Ostatnio w Dwójce była czytana „Lalka” przez Jarosława Gajewskiego - po prostu rewelacyjnie. Oboje z Adamem słuchaliśmy. Teraz Maciej Stuhr czyta „Trans-Atlantyk” Witolda Gombrowicza. Interpretując bajki, wymyślałam sobie do wierszowanego tekstu, który mógłby być piosenką, jakieś melodie – taka miła twórcza zabawa. Inną formą realizacji jest praca z młodymi ludźmi – warsztaty, zajęcia z grupą – czasem dostaję takie propozycje.

Ale na krótkie chwile pojawiaasz się na ekranie...

W zeszłym roku, od stycznia do maja, uczestniczyłam w realizacji jednego z filmów cyklu „Prawdziwe historie”. Cykl powstaje w telewizji TVN, składać się będzie z kilku odcinków, a każdy będzie dotyczył innej historii. Jeden z filmów mówi o katastrofie górniczej w kopalni Halemba, inny opowiada historię Przemysława Salety i jego córki, której oddał nerkę. Jest też film o zmarłej siatkarce Agacie Mróz, film przedstawiający sylwetkę niespełnosprawnego Janka Meli wędrującego z Markiem Kamińskim na bieguny Ziemi. Scenariusze oparte są na niezwykłych, często tragicznych zdarzeniach, pisane w kontakcie z bohaterami, ich rodzinami, żeby były jak najbardziej prawdziwe. Ja wzięłam udział w filmie „Cisza”, do którego zdjęcia odbywały się w Krakowie i Zakopanem. Film opisuje zdarzenie mające miejsce parę lat temu. Grupa młodych ludzi z dwoma opiekunami wyruszyła na Rysy. Podczas ich wę-

drowki zeszła lawina i spowodowała śmierć ośmiu osób, w tym jednego nauczyciela. Podczas akcji ratunkowej helikopter z ratownikami też miał wypadek. Drugi nauczyciel uratował się, potem był proces sądowy. Film reżyserował Sławomir Pstrong, w głównych rolach wystąpili Edyta Olszówka, Marcin Perchuć, Paweł Królikowski. Zagrałam rolę nauczycielki, żony jednego z opiekunów, który zginął. Trudny temat, ale dobrze mi się pracowało z ludźmi, których spotkałam na planie. To realizacja bardzo solidna, raczej niekomercyjna.

Zagrałaś rolę w filmie Franciszka Dzida „Piętnaście fotografii”. To chyba warte uwagi przedsięwzięcie.

Reżyser Franciszek Dzida jest najbardziej zawodowym amatorem wśród filmowców, z podejściem i doświadczeniem zawodowca. Robi filmy od czterdziestu lat – co roku, co dwa lata przygotowuje nowy. Zrobił m.in. dwie fabuły z rolami Piotra Machalicy. W filmie „Piętnaście fotografii” zagrałam też ja. To także była niezwykle przyjemna współpraca. Lubię takie zdarzenia, bo lubię poznawać ludzi, dowiadywać się, co oni mają w sobie. To jest strasznie fajne. Oczywiście, pracujemy najlepiej jak umiemy, ale nie jest to praca liczona na czas, nie jest to zadanie od-do, tylko zbierają się ludzie i coś wspólnie tworzą. Takie spotkania twórcze bardzo mi się podobają. Za kamerą stanął bardzo zdolny operator – Łukasz Rosenberga. Cała ekipa techniczna, poza dźwiękowcem, to ludzie pracujący na co dzień przy serialach, np. „Brzydula”, mający warsztat. Przywieźli pół wielkiego samochodu pożyczonego sprzętu i prawie za darmo bawią się w takie rzeczy, a przecież mogliby w tym czasie w Warszawie zarabiać pieniądze na czym innym. Ale pewnie chcą też czegoś odmiennego spróbować. Sama fabuła filmu jest ciekawa. Spotkałam też na planie Kasię Litwin – aktorkę z Krakowa, która współpracuje od dawna z Franciszkiem Dzidą. Była to dla mnie przygoda, a co z tego wyjdzie – zobaczymy. Premiera odbyła się w połowie lutego najpierw w Chybiu, gdzie działa jego Amatorski Klub Filmowy „Klaps”, potem w teatrze w Bielsku Białym. Pan Franciszek ma w sobie ciągłe te filmową pasję. Jest postacią legendarną – pierwowzorem bohatera filmu Kieślowskiego „Amator”. Jego ośrodek filmowy działa przy Domu Kultury w Chybiu od 1969 roku. Krzysztof Kieślowski tam przyjeżdżał, zainspirowany postacią reżysera-pasjonata. Jednym z miejsc akcji naszego filmu był dom przemysłowych ludzi, który na czas zdjęć zagarnęliśmy. Uroczy dom nad potoczkiem, cudnie tam było. Ich syn grał mojego filmowego syna. Nieco zdjęć też było w plenerze.

Grasz żonę głównego bohatera – powiedz coś o roli, o fabule.

Nie chcę na razie zdradzać. Nie widziałam jeszcze efektów. Praca była o tyle trudna, że czas jaki mieliśmy na realizację, był jak dla filmu krótkometrażowego, a scenariusz objętościowo jak do filmu pełnometrażowego. Czasu było bardzo mało, więc naprawdę solidnie pracowaliśmy.

Teatr i film jest dziedziną bardzo pochłaniającą i mieszającą w sobie wiele innych dziedzin. Jest miejsce na pasję pozateatralną?

Kocham rośliny, mam takie, którymi opiekuję się od kilkunastu lat i pamiętam, które od kogo dostałam. Uwielbiam dobre książki, jazdę na nartach. Lubię... grać w gry planszowe (śmiech), żeby się rozerwać gram z dziećmiaki w scrabble, w monopol, w statki. W lecie jest chodzenie po górach. Ciekawią mnie filmy - te niekomercyjne z kina europejskiego. Czy myślisz, że ktoś to będzie czytał i będzie go interesowało moje głośzenie (śmiech)? Nie lubię wywiadów, bardzo. Nie nawidzę wywiadów. To są tylko słowa, słowa, słowa. Za dużo słów.

Myślę, że tak, na pewno znajdą tę rozmowę Twoi wielbicieli i amatorzy teatru. Co masz w planach? Do jakich ról się przygotowujesz?

Trzeba by pójść zapytać dyrekcji (śmiech). Pracujemy teraz nad sztuką Moliera „Mieszczanin szlachcicem” w reżyserii Waldemara Śmigasiewicza. Premiera jest planowana w marcu, na Dzień Teatru. Jest też pomysł współpracy z Teatrem na Woli, ale nie wiem czy to wyjdzie. „Wilki” w tym sezonie również będziemy grać w Sopocie – mam jeszcze drugą nogę, więc mogę grać bez problemu (śmiech).

Dziękuję za rozmowę.

Dominika Radkowska

Agata Ochota - Hutyra, aktorka Teatru im. Mickiewicza w Częstochowie. Zagrała tu ponad 70 ról. Aktualnie oglądamy ją m.in. w spektaklach:

„Wilki” (Agnieszka Osiecka, reż. Andre Ochodlo), „Nocną porą” (Rebecca Lenkiewicz, reż. Marek Pasięczny), „Trzy siostry” (Antoni Czechow, reż. Julia Wernio), „Igraszki z diabłem” (Jan Drda, reż. Gabriel Gietzky), „Mayday” (Ray Cooney, reż. Wojciech Pokora)

Antywojenny antystriptiz

Jakub M. Rawinis

Nie samym Teatrem im. Adama Mickiewicza Częstochowa żyje. Na teatralnej mapie miasta dużą rolę odgrywa Teatr From Poland, kierowany przez niezwykle energicznego Wojciecha Kowalskiego. W ostatnim czasie zrealizował on „Porady dobrego wojaka Szwejka” na motywach powieści Jarosława Haszka. Od dawna zresztą mówiono, że Kowalski ma idealne warunki fizyczne do roli „dobrego wojaka”. Na plakatach reklamujących przedstawienie jawi się wręcz jako reinkarnacja Rudolfa Hrušínskiego, który grał Szwejka w kanonicznej ekranizacji.

Perypetie czeskiego żołnierza austro-węgierskiej armii, stosującego zdrowy chłopski rozum przeciwko absurdom świata, były już wielokrotnie wystawiane, ekranizowane, interpretowane. W niedługim spektaklu Kowalski zwrócił uwagę na rozmaite mądrości, którymi przesyła idiota sypie jak z rękawa, zawsze mając na podorędziu przykład „z życia wzięty”. Gdyby czytając „Szwejka” pominąć warstwę fabularną, a skupić się właśnie na owych anegdotach, można dotrzeć do bardzo interesującej wizji świata i człowieka.

Taką właśnie formę mają „Porady...”. Szwejk wygłasza do publiczności rodzaj wykładu, ale jednocześnie jest to jakby pogawędka ze znajomymi. Zaczyna się od wspomnień z domu wariatów. Artysta objawia się widzom w kaftanie bezpieczeństwa. Potem występuje już bez kaftana – boso, w spodniach maskujących i koszulce khaki, i w toku przedstawienia zakłada kolejne części ubioru (antystriptiz?).

Jak można wywnioskować ze stroju aktora, realia zostały uaktualnione. Słychać to na samym początku, gdy odczytane orzeczenie komisji lekarskiej, uzasadniające idiotyzm Szwejka, zamiast hasła „Niech żyje najjaśniejszy pan!”, zawiera okrzyk „Niech żyje minister obrony”. Zwykle jestem przeciwnikiem unowocześniania klasyki, ale Kowalski skoncentrował się nie na fabule, lecz na treściach „mądrościowych”. Uaktualnienie zatem nie przeszkadza. Wręcz przeciwnie: pokazuje, że prawda zaobserwowana przez Haszka i jego bohatera pozostaje wciąż aktualna.

Szwejkowych anegdot było zatrzęsienie. Reżyser wybrał kilka. Słyszemy więc, między innymi, historię abstynentów poszukujących wódki bezalkoholowej. Szwejk spokojnie pija sobie piwko. Mamy też wykład o hodowli psów – zawołany handlarz czule przemawia do skarpetki naciągniętej na rękę. Gdy przechodzi do problematyki kradzieży psów, posił-

kuje się autentycznymi ogłoszeniami o zaginionych psach z „Gazety w Częstochowie”. Sięga też po teatr cieni, by zademonstrować, jak to się dzieje, że psy dają się ukrążyć. Kiedy indziej Szwejk wychodzi do publiczności z czterocyfrową liczbą zapisaną na kartce i prowokuje: „To jest mój PIN. A czy wy macie swój PIN?”, aby następnie opowiedzieć o metodzie zapamiętywania liczb, tak prostej, że aż strach. Tematyka strictly wojskowa pojawia się dopiero pod koniec: hałas walki, strzelanina i przekleństwa z taśmy stanowią tło dla patetycznej recytacji zmyślonego fragmentu kroniki kompanii Szwejka, który teraz występuje już w kompletnym mundurze i hełmie (notabene z czasów wojny wietnamskiej).

Od czasu do czasu na scenie zapadają ciemności. Tylko fioletowe światło rozświetla twarz upiornego pisarza-moralisty przy biurku, który grobowym głosem przestrzega przed teatralnymi szalierzami, prezentującymi powierzchowną rozrywkę bez głębszej refleksji. Zgodnie z tym na końcu Kowalski zapodał coś, co sprawia, że śmiech więźnie w gardle: groteskowy, upiorny taniec owiniętego w prześcieradło „ducha wojny”, rozrzucającego na oślep nieśmiertelniki. Ten finał jest tak przejmujący, że rzucana na samym końcu deklaracja o wojsku tracącym ludzi na wojnach, w których nie powinno brać udziału, w porównaniu z nim przypomina cios łopaty. Skoro wcześniej odtworzono z taśmy piosenkę żołnierską z Iraku, to chyba już problem został wystarczająco zasygnalizowany?

„Porady dobrego wojaka Szwejka” są przykładem, jak niewiele środków potrzeba, żeby stworzyć interesujący spektakl: wystarczy przestrzeń, aktor, parę rekwizytów i wyobraźnia.



Fot. J. Dędek

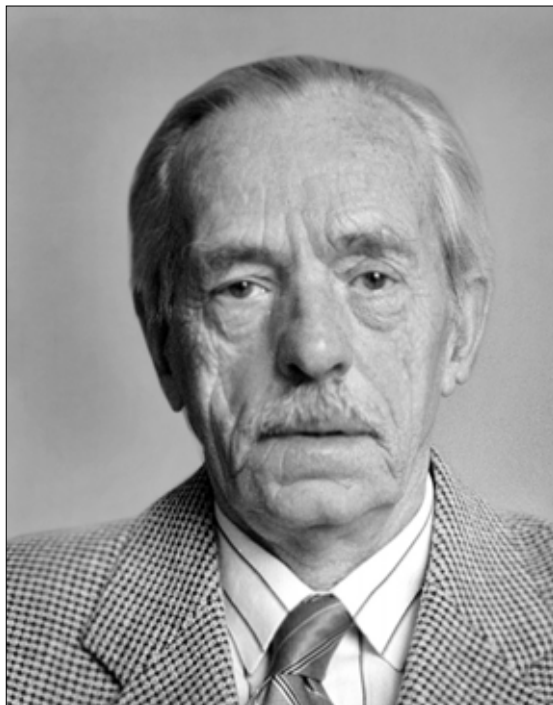
O twórczości Tadeusza Gierymskiego

Elżbieta Hurnikowa

Tadeusz Gierymski w naszej pamięci pozostanie jako poeta, prozaik, publicysta, przez wiele lat ważny uczestnik życia literackiego w Częstochowie, którą sobie obrał jako miejsce zamieszkania już jako dorosły człowiek. Toteż próba pełnego przedstawienia Jego sylwetki twórczej musiałaby uwzględniać różne nurty działalności piarskiej i zawodowej, drogę dochodzenia do własnego światopoglądu i warsztatu literackiego, ale także sposoby zakorzenienia się w środowisku literackim Częstochowy i rozliczne z nim więzi. W Jego dorobku są wiersze drukowane w pismach ogólnopolskich (w „Poezji”, „Życiu Literackim”, „Nowym Wyrazie” i in.), arkusz poetycki *Krótką oda do lampy* (1967), zbiory wierszy: *Rosa i rdza* (1982), *Wiersze* (1999), *Wyścig z czasem* (2002), *Tulia (erotyki)* (2003), *Piołun* (2003), zbiory prozy *Notatki z czasu* (2001), *Opowiadania najkrótsze* (2002), praca o charakterze literaturoznawczym *Region częstochowski w literaturze pięknej* (2003) oraz *Miscelanea literackie* (2005), które są zbiorem wspomnień osobistych oraz poświęconych znanym postaciom z życia literackiego i kulturalnego Częstochowy, recenzji teatralnych, felietonów i reportaży, a także wypowiedzi pisarzy, publicystów i znajomych o Autorze (publikowanych wcześniej w „Alejach” i in.). Debiut poetycki Tadeusza Gierymskiego miał miejsce w latach pięćdziesiątych na łamach ogólnopolskiego „Tygodnika Powszechnego”, pierwszy zbiór wierszy ukazał się

w Warszawie, kolejne wychodziły w Częstochowie. Rozdział „częstochowski” w życiu poety – ponad pół wieku – był zatem bardzo obszerny i bogaty w dokonania. Autor *Wierszy* związał się z miastem pracą zawodową (w Bibliotece Miejskiej), współpracą z lokalnymi gazetami i pismami („Gazeta Częstochowska”, „Dziennik Częstochowski – 24 Godziny”, „Aleje 3”), z instytucjami kulturalnymi, ze środowiskiem piszących, zwłaszcza z debiutantami, a przede wszystkim – poprzez ważne inicjatywy kulturalne i literackie. Każde z tych zadań wymagałoby osobnego, szerokiego omówienia; ważny przyczynek stanowić mogą wspomnienia przyjaciół, znajomych, współpracowników poety (sporo takich wypowiedzi zawierają *Miscelanea literackie*). Należy zaznaczyć, że twórczość Gierymskiego była już przedmiotem wnikliwszej uwagi, np. lirykę analizował przed paroma laty Arkadiusz Frania w książce „*Solidne niefarbowane retro*”. *O poezji Tadeusza Gierymskiego* (Częstochowa 2004); na studiach podyplomowych w AJD powstała praca ukazująca sylwetkę poety na tle środowiska artystycznego i kulturalnego Częstochowy.

Tadeusz Gierymski tworzył wiersze, opowiadania, notatki literackie zakorzenione mocno w podłożu autobiograficznym. *Notatki z czasu* to wyprawa w głąb własnej biografii, którą rekonstruuje wyznania o charakterze intymnym – o chorobie, życiowych doświadczeniach, o cierpieniu, nadziei. Z przeżyć osobistych wyrastają również *Opowiadania najkrótsze*. Autor powraca tu do różnych okresów życia, a przede wszystkim do lat wojennych, jak w opowiadaniu *Pierwsza miłość* zaczynającym się od słów: *Trwała wojna. Roznosiłem konspiracyjne gazetki, chodziłem na tajne komplety i usilnie uczyłem się nie-*



Fot. L. Plichowski

mieckiego (s. 8). Ten etap życia był dla Autora szczególnie ważny, właśnie ze względu na wstąpienie, mimo młodego wieku, do Armii Krajowej (wypowiadał się na ten temat wielokrotnie). Podkreślić jednak należy, że zarówno *Opowiadania najkrótsze* jak i *Notatki z czasu* budują przede wszystkim biografię duchową poety.

Istotną funkcję pełni forma prozatorska, jaką posługuje się Gieryski. W *Notatkach z czasu* jest to forma fragmentaryczna, szkicowa, bodaj najbardziej przylegająca do tego typu refleksji, jaki dominuje w pisarstwie Autora, stroniącego od „wielkich interpretacji” i syntez. Mała forma pojawia się także w zbiorze *Opowiadania najkrótsze* (już sam

tytuł jest znaczący), a w *Krótkiej nocy autorskiej* czytamy: „Przedstawione w książeczce teksty nie są (poza dwoma) opowiadaniem we właściwym znaczeniu tego gatunku literackiego. To raczej obrazki, scenki, ogólna charakterystyka osób”. Upodobania do małej formy tłumaczy pisarz uwielbieniem, jakie żywił zawsze dla nowel i opowiadań (Poe’go, Flauberta, Tołstoja). Jednocześnie wyznaje tutaj: „Mam pełną świadomość niedoskonałości *Opowiadań najkrótszych*, ale wybaczam ją sobie łatwo. Uważam się bowiem za poetę, nie prozaika”.

Mikroświat poetycki jest zatem sferą, w której Tadeusz Gieryski czuje się najlepiej. To właśnie w wierszu wyjawia najistot-

niejsze treści własnych przeżyć, doświadczeń, pragnień. Tutaj też najbardziej ujawnia się dyscyplina twórcza, poczucie odpowiedzialności za język, za warsztat poetycki. W jednym tylko zbiorze *Piołun* można odnaleźć kilka utworów świadczących o świadomości, jaką wagę ma każde słowo, jak ostrożnie należy się z nim obchodzić, jak trudno docierać do jego znaczenia:

*Każde słowo obracam w oczach
jak Ziemię. Szukam białych plam
w dorzeczach skolonizowanych wyrazów,
w deltach, gdzie czarne kleszcze raków
trzymają gorące skały znaczeń.* (s. 34)

W proces twórczy poeta angażuje wszystkie swoje siły, wszelkie przeżycia, całe życie - toteż

*pisanie wierszy to
umieranie po kawalku
z każdą metaforą
błyskiem myśli
z każdą nienawiścią
i każdą miłością* (s. 102)

Mając do czynienia z poezją tworzoną z tak głębokim namysłem i wrażliwością na brzmieniową i znaczeniową tkankę słowa, można wierzyć, że twórca dąży do prawdy uczuć, do głębi doświadczenia, do esencji przeżyć.

Jednym z najważniejszych tematów tej liryki (i twórczości w ogóle) jest miłość. Potwierdza to bodaj najpełniej zbiór erotyków *Tulia*, który dedykowany został – wszystkim znajomym kobietom. Wiersze w nim zawarte definiują zatem (czy raczej konstruują) bliski

autorowi ideał kobiecości, traktowanej jako „dar boży”. Miłość też trzeba ubrać w najbardziej odpowiednie słowa, toteż w jednym z wierszy skierowanych do tytułowej Tulii pada pytanie: *Jak pisać o tobie* (s. 19). Pisanie o miłości jest tożsame z samą miłością, kiedy zatem upływ czasu nieuchronnie prowadzi do utraty miłości, poeta wyznaje: *nie piszę erotyków/ już dawno nie kochałem* (s. 5). Miłość, pierwsze związane z nią przeżycia i późniejsze doświadczenia powracają też we wspomnieniach Tadeusza Gierymskiego, w opowiadaniach, w *Notatkach z czasu*. W utworach pisanych w ostatnich latach życia ważną rolę odgrywa postać żony-opiekunki, osoby bliskiej, nieodzownej, która obecna będzie także i w innej formie bytu. W wierszu, który można traktować jako pożegnanie poety ze światem, oparcia szuka on w rytuałach dnia codziennego, w rodzinnych więziach, dla których nie istnieje żaden kres:

*Jeśli nie wrócę ze szpitala
niech nocna lampka się zapala
na moim biurku cały tydzień,
niech wszystko jak szło – dalej idzie,*

[...]

*I by sprawiła jakaś siła,
by żona czasem się przyśniła,
która podaje do ust wiśnie
mnie... kiedy już nie będę istnieć,
tak jak czyniła w młodych latach.
Niech robi to w tym śnie. W zaświatach.*

(„Aleje 3” nr 75, wrzesień-październik 2009)

Wiersz, który opublikowany został już po śmierci poety („Aleje 3” nr 76, listopad-grudzień 2009), mówi o „heraklitejskiej rzece” płynącej „ciemnym nurtem”, o odchodzeniu ze świata. A dokonuje się ono poprzez utratę możliwości pełnego przeżywania życia, poprzez wygasanie zmysłów:

[...]
*wiotcząją twoje palce
 jeśli nie dotykają
 płowieją włosy
 jeśli nie gładzi ich nikt*

*smutne są twoje oczy
 kiedy nie widzą*
 [...]

Tadeusz Gieryski odbierał świat wszystkimi zmysłami, był niezwykle wyczulony na urodę życia, na piękno świata, bez względu na to, czy objawiało mu się ono w Sokolich Górach, w olsztyńskim lesie, czy też w norweskich fiordach. W zbiorze *Piołun* opiewana jest na przykład mieniąca się niezliczonymi kolorami górską wodą:

[...]
*rankiem biała jak litania
 niebieska południem
 fioletowa o zmierzchu* (s. 92)

Przed laty cyklem *Przywiezione z Norwegii* zachwycała się Ludmiła Marjańska: „Fioridy, polarne światło – Gieryski umie to ukazać, a mówię to z pewną zazdrością, bo będąc parę lat temu w Norwegii nie potrafiłam znaleźć słów na ich opisanie. Może tam trzeba przebywać dłużej niż kilka dni, kiedy wrażenia z podróży nie zdążą zmienić się w słowa?” (*Miscelanea literackie*, s. 219).

Ale poeta w równie przekonujący artystycznie sposób potrafił pisać o polskiej jesieni, o lasach, które sobie upodobał, o każdym krajobrazie, który stawał mu się bliski, o ptakach, zwierzętach, drzewach. W wier-

szach tych wrażliwość na malarskie walory świata łączył z refleksjami na temat życia, przemijania, cierpienia – jak w *Liście do wnuczki* z tomu *Piołun*:

*A w parku wciąż spadają liście
 ulewą złotą, bez szelestu,
 w jesiennej ciszy, w melancholii;
 i bez-Tęsknota taka jest tu,
 że nawet serce już nie boli.* (s. 97)

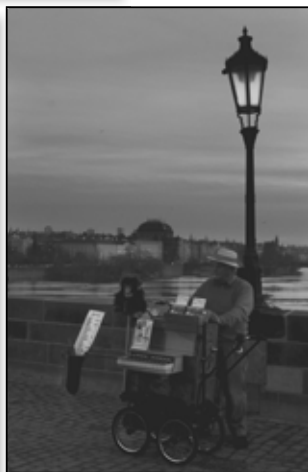
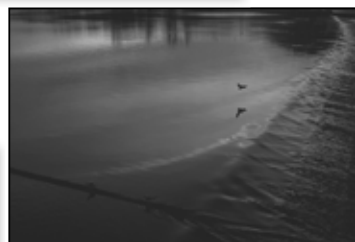
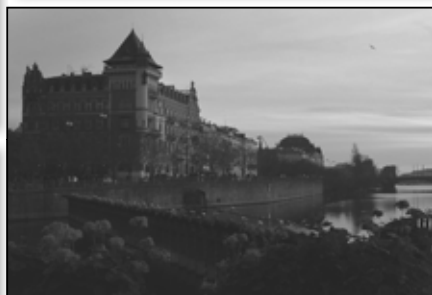
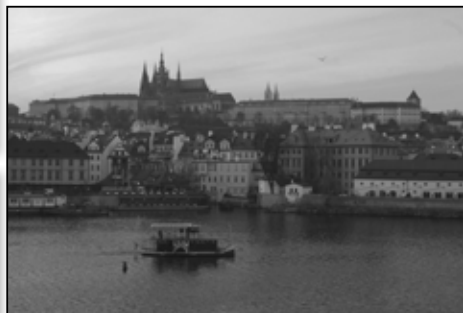
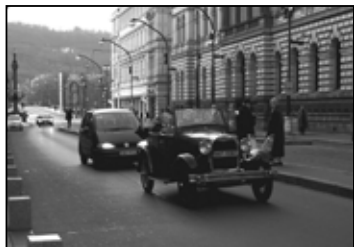
W *Słowie od Autora* otwierającym zbiór *Piołun* Tadeusz Gieryski, próbując określić istotę poezji, uznał, że wymyka się ona jakiegokolwiek ostatecznej definicji: „Myślę, choć nie bez smutku, że jest to chyba moja ostatnia edycja spod znaku Muzy poetyckiej, toteż chciałbym jeszcze raz wyrazić mój pogląd na poezję w ogóle. Kiedyś szukałem definicji, ale to niemożliwe. Podobnie jakbyśmy chcieli de-sygnować życie, byt, boga, nicłość...” Toteż w cytowanym już wyżej wierszu (s. 102) poeta, pisząc o przemijaniu, zawsze słowa, jakby dowodząc, że najważniejsze jest to, co niewyraźalne:

*słabnącą ręką napiszesz
 ostatnią przenośnię
 że zachód świata jest
 jak.....*

Elżbieta Hurmikowa

Praga

Fot. Leszek Pilichowski



Bratysława



Fot. Leszek Pilichowski



Lux van Maal

Ślepcy

Miasto wciąż tam było
ślepcy nadchodzili ze wszech stron
mieliśmy otwarte oczy
biała mgła całowała nas w zimne nocy

widzimy świetnie
choć ślepotą powszechna
nie bójcie się mijającego czasu
zła nie zmaże dobry uczynek

jesteś szerokokątny widzisz więcej znasz prawa e-ryнку
w naszym mieście dym połykamy przez trzewia nie ma szans
książki służą za papier toaletowy moralność leży odłogiem
nie wychodź na Miasto nocą odkąd noc jest dniem

każde nasze słowo jest historyczne
lecz ginie w białej mgle
nie ma odwrotu
magazyny są pełne żywności
jeszcze mamy szansę ślepmi ślepmi

Z recenzji Piotra Nity:

Wydaje się, że Lux van Mall wszyła w tkaninę utworów wspólne ściegi, ściskając je surową osnową, niejasnego jeszcze, ale wspólnego tematu. Najwyraźniejsze to wątki miasta i umarłych (...) Język tych tekstów gesty (...) Leksyka bogata, nawet miejscami karkołonna (...) Przez tekst prześwituje czytanie. Ma się wrażenie obcowania z kolażem cytatów, a jednak nie sposób namierzyć ich pochodzenia, ni to biblijne, ni przypowieściowe, z ludowości, lub jeszcze skądś. Sznurki poodcina-no. Mielenie mitologii z donosami współczesności w jednym młynku to także ciekawy zabieg – w większej części udany. Kim więc jest van Maal? - pytam. Odczytałem jedną wyraźną inspirację filmem – wiersz „Ślepcy” to ewidentnie czytanie filmu pt. „Blindness”. Choć zabieg taki uważam za ryzykowny (...) to autorka rozwiązała go ciekawie i wychodzi z niego obronną ręką (...) Dokonałem odczytu pod tym kątem, lecz nie odkodowałem niczego – może wada aparatu, a może ślepy trop. Sam fakt jednak, że teksty te inspirują do poszukiwań, do różnych odczytań – jest zachęcający. Jak na Częstochowę - mówię pięć.

Paweł Kaczmarek

...
rzęzi
niedostateczna metalurgia
nagie kap i KAP
ot małe zbawienie

ciała
w splywie
w przegubie

opóźnione już nad to
słodkie alleluja

pogańskie łyżki
niewybawione

...
prosta nitka
robotnicze a – b
truchtem
grubo

bliżej ścieg oczywisty
przystankowe serce z włóczki

...
przepompowany krok
po smukłym wysiłku
wędrowny wdech i krótki grymas
przed sobą percepcja
niedojrzałych kończyn
owdowiałych paznokci

ukradkiem postój
zabawa w oddychanie

Antykwaryusz

Tadeusz Ryciarski

Uchylane z wolna przeszklone drzwi antykwiariatu poruszyły wiszący nad nimi dzwonek. Dźwięk był metaliczny, ale łagodny, parosekundowy, poprzecinany ledwie wyczuwalnymi pauzami ciszy. Obojętny na siłę klientów wprawiających w ruch prosty mechanizm alarmowy, zawsze brzmiał tak samo. Mógł go uruchomić choleryk energicznym pchnięciem, za hukana cicha myszka, angielski flegmatyk lub jego królowa, nawet brygada antyterrorystyczna wylamująca wejście. Nie miało znaczenia, kto wchodzi i wychodzi. Dzwonek wszystkich, dosłownie wszystkich, anonsował z jednakową głośnością.

Jacenty, bibliofil z opadającymi na kark przydługimi siwiejącymi włosami, które zdradzały jego hippisowską przeszłość, dałby wiele, żeby choć jednym mocniejszym tonem sygnalizował nadejście klienta, o którym od razu wiadomo, że będzie z nim można ubić interes. Uwolniłoby go to od bezsensownych rozmów z całą resztą bezwartościowych biznesowo humanistów o bogatym wnętrzu i pustym portfelu. Potrafił przez godzinę wertować jedną książkę za kilka groszy, by w końcu odłożyć ją na półkę i odwrócić się na pięcie. Witano ich i żegnało zawsze jednakowe, przytłumione brzmienie. Na żadne porozumiewawcze dzyń-dzyń antykwaryusz nie mógł liczyć, toteż lekceważył dzwonek.

I tym razem nie zareagował. Przeglądał w głębi antykwiariatu niesprzedawalne nabytki, manowce swoich literackich fascynacji i handlowych kalkulacji. Dopiero dobiegające z przyległego pomieszczenia teatralne chrząknięcia odwróciły jego uwagę od dwóch prawie półmetrowych stosów książek z pozóółkami kartkami. Nie musiał oglądać klienta, ani studiować psychologii zachowań, żeby wiedzieć, że z nim nie pohandluje. Zdradzało go dyskretne sygnalizowanie obecności, po którym powinno dobiec z oddali: „dzień dobry!” lub „jest tu kto!?” Potem musiało paść sakramentalne, czy byłby zainteresowany zakupem. Byłby, ale przypadkowego „białego kruka” się nie spodziewał, zaś cała powojenna reszta niewiele była warta.

Choć znał na pamięć niepisany scenariusz odwiedzin, nie czekał dłużej na jego spełnienie. Niespiesznie wyszedł z zaplecza przesiąkniętego ciężkim zapachem kurzu i kawy.

Przy stole zawalonym wysłuchanymi kryminalami, koło półki przeznaczonej dla meblujących się sno-

bów z klasyką w inkrustowanych okładkach, stała Anna, jego pierwsza miłość. Bosko wyglądała w tej scenerii. Nie zmieniła się ani trochę: szczupła, oczy niebieskie, czarne brwi, nos zalotnie zadarty, wargi wyraźnie zarysowane, wydatne. Jedyne włosy o ton ciemniejszy, no i strój nie ten co wtedy, tylko dzisiejszy. Ubięrała się w wysokie dżinsy z szerokimi nogawkami, teraz miała obcisłe, fabrycznie wytarte biodrówki. Jakby po prostu wskoczyła przed chwilą we współczesne ciuchy i wybiegła z bramy na umówione w Alejach spotkanie. Ale minęło... Zaraz, kiedy to było? – próbował umiejscowić w czasie ich rozstanie. Data gonila datę, zdarzenie ściagało zdarzenie. Zaskoczony wizytą, miał mętlik w głowie. Stał błądy, milczący, zahipnotyzowany. Jedyne oczy taksowały bezwstydnie twarz i ciało jego pierwszej kobiety.

- Czy z panem wszystko w porządku? – zaniepokoiła się na serio.

- Aniu, kochanie, dlaczego mówisz mi pan? – wyszeptał zdumiony.

- Ja pana nie znam! – oburzyła się.

Speszony przeprosił za pomyłkę, choć dalej nie rozumiał, dlaczego go nie poznaje. Albo raczej udaje, że nie zna. Przecież nie mógł się aż tak zmienić. A może to nie ona? Może Stwórca przestał siłić się na oryginalność i powołał do życia dwie identyczne istoty, które miały na zawsze zagubić się w oceanie siedmiu miliardów anonimowych istnień zamieszkujących planetę. Albo uznał, że osiągnął doskonałość, ideał, perfekcyjny wzorzec zasługujący na powtórzenie, który nie wiedzieć czemu zjawił się w antykwiariacie i był na wyciągnięcie ręki. W każdym razie ich spotkanie mogło być wielką mistyfikacją, którą próbował gorączkowo rozszyfrować.

- To ja, ja, ja, Ja-centy – zaczął dukać, co mu się zdarzało tylko w silnej emocji.

- Pogięło cię, gościu? – bez pardonowa, mocna odzrywka podziałała niczym walińcic obuchem w łeb. Nie, to nie mogła być jego Ania. Antykwaryusz obcował ze słowem, a ten zwrot na pewno nie pochodził z jej wokabularza. Ludzie mogą się zmieniać, nawet zastygać w niezmienionej postaci, ale sposób wystawiania się pozostaje. Jest jak przyznany na wieczność kod pocztowy kierujący słowny przekaz pod właściwy adres osobisty, generacyjny, środowiskowy, terytorialny. Na przykład tylko pod 42-200 mówi się „chapcie” i „schódki”. Nigdzie indziej nie kaleczą w ten sposób polszczyzny. Ale przynajmniej wiadomo, kto zacyt. Nie, to nie ona – zawyrokował w myśli.

- Kim pani właściwie jest?

- Chciałam sprzedać trochę książek, bo zostały w mieszkaniu po śmierci mamy.

- Po śmierci mamy, po śmierci mamy, powiada pani, że po śmierci mamy... – powtarzał jak zaklęcie, które wyczuwalnie jest ważne, jednak jego sprawce

potęgi nie można zrazu pojąć. Wreszcie domyślił się, kto jest kim w życiowej układance. Zdziwiony, że dopiero teraz zdołał się tropnąć, postanowił dokładnie przepytać dziewczynę – wypisać, wymaluj jej Annę.

Przeszli na zaplecze, żeby usiąść i swobodnie pogadać. Z okładek, grzbietów, obwolot książek piętrzących się od podłogi po sufit, z ramkowych fotografii i linorytów powieszonych na wolnych od pólek skrawkach ściany, śledzili ich zazdrośni o każde słowo pisarze i poeci; najwięksi tego świata, zausznicy antykwariusza w cenie skupu 5-10 zł.

Przyglądał się jej uważnie, chłonąc najdrobniejsze strzępy informacji, by móc zanurzyć się w życiu ukochanej kobiety, wywoływać doznania, budować wymaginowane obrazy i fabuły, w których mógłby uczestniczyć. Dziwna była to opowieść. Cały czas miał wrażenie, że Anka mówi do niego. Nawet wtedy, kiedy dziewczyna opisywała śmierć matki na raka, nie opuszczało go to zwodnicze przeświadczenie.

Weronika była jej jedyną córką. Z tego co mówiła wynikało, że ostatnio mieszkaly w Hamburgu. Tam została pochowana, tutaj nie miała nikogo.

Gdyby życie inaczej się potoczyło, Weronika mogłaby być jego córką. Potoczyło się, jak potoczyło, bo Jacenty zachował się kiedyś jak tchórzliwy gnojek. W myślach nie oszczędzał siebie, ale głośno o wstydliwych faktach nikomu nie zamierzał opowiadać, a już najmniej Weronice. Zależało mu, żeby miała o nim dobre zdanie. Była w jego królestwie, toteż czuł się pewnie. Ze swadą opisywał odwieczną antykwariat zbiegłych inteligentów, różnych przegranych magistrów i profesorków ze zlamaną karierą, targających do jego Kanossy siaty z zaczytanymi tomami. Wykonywał wobec kónające inteligencji higieniczne zabiegi sępa czyszczącego czaszki z beużytecznej tkanki mózgowej i jak sęp bezwzględna skuteczność zawdzięczał błogiej nieświadomości roli, jaką przyszło mu pełnić w odmóddzonym świecie.

- Proszę sobie wyobrazić – czarował dziewczynę kolejną opowieścią – przychodzi do mnie zasuszony staruszek z trzynastoma tomami Wielkiej Encyklopedii Powszechnej PWN. Pojęcia nie mam, jak je wszystkie przydzwigał. Sapał niczym lokomotywa. Nie chciałem tego wziąć nawet w komis, bo teraz encyklopedie to i do gazet dodają. Uprosił mnie, żebym w oknie wystawił, to może kupiec prędko się znajdzie, a on sobie wreszcie leki wykupi. Stała kilka miesięcy kurz łapiąc. W końcu spakowałem do bagażnika i sam ją do domu odwozłem. Żeby się człowiek nie męczył – wyjaśnił i dorzucił niby mimochodem, że taki już jest.

Potem przeprosił, że gapa z niego, bo przecież w sprawie książek przyszła, a on gada i gada. I znów zagadał:

- Kiedy byliśmy w pani wieku – ja, pani mama i wszyscy wokół – w prozie iberoamerykańskiej rozczytywaliśmy się; zagadkowej, wieloznacznej, metafizycznie tajemniczej, egzotycznej. No, ale dość tego, już naprawdę milknę – raz jeszcze obiecał poskromić głędzenie, więc zapytał już krótko, czy przygotowała listę tytułów do sprzedania.

- Listy nie mam, ale mam w głowie super zdanko z przyszykowanej książki. „A umrzeć to lepszy sposób życia, zwłaszcza jeśli ktoś sam ma na to ochotę i wybiera odpowiedni moment i sposób” – wyrecytowała.

- Skąd to?

- Z jednego z waszych Argentyńczyków.

Pamiętał ten passus. Pochodził z pierwszego rozdziału „Żeby cię lepiej zjeść” Kieffera o niewyjaśnionym zaginięciu studenta w drodze do Mar del Plata. Stanowił też fragment jego odręcznego wpisu dla Anki. Wymowa książkowej dedykacji w połączeniu z pewnym znanym w mieście późniejszym wydarzeniem była dla antykwariusza nie tylko wstydliva, ale mogła być też kłopotliwa, nawet po latach. Za tę jedną pozycję oddałby wszystkie wyszperane, wymienione, zakupione, przeplacone, wykradzione, wydudzone woluminy. Lecz czego miałyby się obawiać, skoro tylko Anka знаła tajemnicę? W takim razie, kim jest i co wie kobieta, z którą rozmawia? Weroniką, która zamiast siedzieć w internetowej sieci, wertuje książki i kojarzy odpowiednie fakty? Odmłodzoną geniuszem chirurga plastycznego Anką? Kim?

Spoglądał nieufnie na zapchane regaly. Na wszystkie kówdzące poradniki, pękate encyklopedie, wychudzone poezje, przemądrzałe podręczniki, zapomniane wspomnienia, złowieszcze raporty, wywrotowe mowy, usłużne słowniki, krwiożercze kryminały, zadziorne pamflety, wierne albumy. Z zaprzyjaźnionego kręgu lokatorów antykwariatu pochodził zdrajca. Odgrażał się na tytułowej stronie.

- Pani bardzo czytana. A dzieła nie znam – skłamał – ale z uwagi na pani sytuację, odkupię.

Tymczasem dziewczyna wyciągnęła rękę na do widzenia i uśmiechnęła się znacząco. Może w podzięce za komplement, może z konwencjonalnej grzeczności, a może, co byłoby najgorsze, z jakiejś innej niepokojącej przyczyny.

Zaskoczony i oniemiały nagłym pożegnaniem antykwariusz odprowadził ją wzrokiem do wyjścia. Poszła sobie, ale jeszcze przez krótką chwilę wybrzmiewały uderzenia dzwonka, z których usilnie pragnął wyłowić nieoczekiwany dźwięk zwiastujący powrót biznesowego klienta.

DŁONIE

Janusz Mielczarek

Od kilku minut stała w szklance aromatyczna, szkarłatna herbata, po którą mógł sięgnąć i wypić, albo oblać nią piętrzące się przed nim papiery. Kochał kolor tego kojącego napoju i dlatego pił go tylko w szkle. Pamiętał, jak będąc dzieckiem, z najwyższej części klifu obserwował hostię słońca zapadającą się w morze koloru jego ulubionej herbaty. Miał sięgnąć po szklankę, gdy do pokoju weszła kobieta w dopasowanej do ciała sukience ze stalowo-zielonego jedwabiu. Przez oko tłoczyło się powietrze nagrzone od ścian domów stojących tu od wieków na pochyłości opadającej ku morzu. Zakręciła kilkakrotnie małą torebką, jak to robią paroletnie dziewczynki, podeszła do stołu pod ścianą i nalała z karafki wody do szklanki. Odstawiła ją, krzywiąc się, jakby dostrzegła wyhodowane tam w upale mikroby.

- Szklanceczki, szeleczki, trujące kuleczki... - wyrecytowała dziecięcą wylizankę.

Mężczyzna dopiero teraz sięgnął po herbatę. Pił ją powoli, patrząc ku kilku starym sosnom pogiętym przez słońce, które pozostały na tarasie rudej skały, w miejscu, gdzie nie można było już zbudować najmniejszego nawet domu. Gdzieś niżej odezwały się krzyki ludzi i po chwili ciszy, jaka na stała, załomotały po kamieniach beczki toczące się z góry ku brzegowi morza.

- Dowiedziałeś się już czegoś? - zapytała kobieta, podchodząc bliżej.

- Jeszcze nie. Czekam. - Najbardziej kochał w niej dłonie. Był nawet przekonany, że Bóg dał jej urodę po to, aby odwrócić uwagę mężczyzn od niezwykłości jej dłoni. Porównania ich do rzeczy pięknych, ważnych i nadzwyczajnych mógł wylizać bez końca.

- Kiedy będziesz wiedział? - zapytała, gdy ustała burza staczających beczek. Pochyliła się ku mężczyźnie za biurkiem. Jej dłonie o skórę koloru spłowiałych liści tytoniu bawiły się muskaniem żółtawych papierów leżących na wierzchu sterty. Zadzwonił telefon. Zniechęciła. Mężczyzna nie podnosił ku niej oczu.

- Na pewno? - zapytała głośno.

Nie odezwał się. Wciąż jeszcze trzymał w dłoni słuchawkę, choć głos z drugiej strony już dawno zamieniał się w ciszę. Jeszcze bardziej ocieślały poprawił się w ledwie mieszczącym go, kanciastym, drewnianym fotelu.

- Kiedy? - zapytała, patrząc na przekrzywiony na ścianie czarny krzyżyk.

- Jutro.

- Mogłeś go uratować - powiedziała z wyrzutem.

- Chociaż od najgorszego, które karmi nadzieje. - Podeszła do fajansowej miski na drucianej umywalce i przepłukała ręce. Mokre trzymała w górze, jak chirurg przed operacją. - Mogłeś - powtórzyła. - Nie zrobiłeś tego, bo ja nie jestem taką, jaką być miałam. Jaką mnie sobie wymarzyłeś w czasie pierwszych spacerów nad morzem.

- Chciałem. Tym razem musisz mi uwierzyć.

- Jeśli jest się skałą, to raz i zawsze. Nie ma jednego czy drugiego razu. - Kobieta suchym już dłońmi o skórę koloru liści tytoniu wygładziła stalowo-zielony jedwab sukienki na brzuchu i ramionach. - Kiedy to robisz?

- O piątej trzydzieści.

Podeszła do zegara na ścianie i ustawiła wskazówek na tę godzinę. Zdziwiło ją, że mała i duża są teraz tak blisko, choć przed chwilą były po przeciwnych stronach.

- Nie dodaje się skażającym win naszym. Win naszych - powtórzyła powoli. - Tej pleśni i wszy, których sami nie możemy na sobie wypalić. - Skierowała się ku mężczyźnie, kołysząc małą, prawie dziecięcą torebką. W pewnej chwili, jakby znudzona zabawą i miejscem, zanurzyła w niej piękną dłoń i tym, co było w środku, z całą siłą uderzyła go w szyję. Zakrzusił się, na moment bezwładnie uniośł ręce. Opadł po chwili, bo wcisnął się w nie ciężar fali przypływu. Upadł twarzą na stertę papierów, przewracając po drodze szklankę z niedopitą herbatą.

Spokojnie podpaliła papiery i wdychała zwierzęcą żarłoczność ognia. „Niebieska łódź odpływa z nami w mgłę, niebieską łódź z skały rzuci Bóg...”, zanuciła cicho pieśń. Rozpoznała kwaśny zapach palących się włosów. Wychodząc, usłyszała jeszcze dzwonek telefonu, który za chwilę rozszalał z trzaskiem.

Nadzwyczajnym ciałem sphywala w studnie drewnianych schodów. Kot znieruchomiał na parapacie sączył ku niej chemię cytrynowych ślepi. Przystanąła. Wyżej, nad nią, uderzył w poręcz schodów uskrzydłony pajęczynami płat szkła. Kot skoczył z piskiem i pogrzyził się w zapadnięch mroku dolnej sieni. Poczuli na ręce chłód zaciskającej się bransolety. Prężyła palce, próbując się uwolnić. Po wierzchu najpiękniejszej dłoni pełzło włochate brzydactwo, którego tak bardzo bała się jako mała dziewczynka. Na płaskim odwołku pulsowała mu tyśa, pokryta śluzem pręga koloru ognia połykającego tępo wyżej papiery i to, co na nich było. Znowu usłyszała krzyki ludzi. „Zaraz ucinę - pomyślała - i rozpanoszy się hałas beczek toczonych ku brzegowi morza”. Ale tak się nie stało. Głosy tłumu były już blisko.

2 II 2010 r.

Saga rodu z Lipowej

Z końcem lutego zaczęło się ukazywać wznowienie „Sagi rodu z Lipowej”. To drugie wydanie książki (rozszerzone!), którą autor – Marian Piotr Rawinis – nazywa też romansem przygodowo-rycerskim. Akcja powieści, osadzonej w realiach XIV/XV wieku, dzieje się w znacznej mierze w okolicach Częstochowy.

„Porywająca opowieść o miłości, wielkich namiętnościach i złowrogich intrygach – pisze o książce warszawskie Wydawnictwo Pi. – Królewskie komnaty, książęce zamki, klasztorne cele, przydrożne gospody, pola bitew i dwór, który zawsze daje schronienie swoim gospodarzom. Dwór w Lipowej to centrum świata dla trzech pokoleń rycerzy prawych i odważnych oraz ich pięknych i roztropnych żon”.

Zapraszając do lektury, M.P. Rawinis zapowiada na jesień początek kolejnej polskiej sagi.



Grota pustelnika

Tadeusz Chabrowski

Dziś nie mogłem doczekać się chwili, by bratu Pafnucemu opowiedzieć swój sen. Z okazji święta św. Pawła Pustelnika, przypadającego 15 stycznia, odprawiamy przez dziewięć następujących po sobie dni nowennę. Uroczystość tą nazywamy „Pawelkami”. Wierni w kościele śpiewają z nami hymny, opowiadające o życiu świętego, kapłan odmawia litanie i specjalne modły. Już jako ministrant byłem z tymi uroczystościami związany uczuciowo. Może dzięki tym wspomnieniom, miałem ostatniej nocy sen, który chciałem koniecznie koniecznie opowiedzieć.

Śniło mi się, że jak w każdy czwartek, wyszliśmy na spacer. Ale teren, w głąb którego zapuszczaliśmy się, był nam zupełnie nieznany. Wszędzie, jak daleko sięgnąć okiem, był piach i dmuchał porywisty wiatr. Ojciec magister oznajmił, że tym razem chce nas zaprowadzić do Tebaidy, byśmy odwiedzili naszego patrona, św. Pawła Pierwszego Pustelnika.

Droga się przedłużała, brnęliśmy przez piachy i wydmy, teren do złudzenia przypominał Saharę. Rozglądając się dookoła, zauważyłem, że nasze habit zaczęły się powoli zmieniać w białe jak u myszek futerka, a nasze białe szkaplerze niepostrzeżenie zmieniały się w długie mysie ogony. To samo musiało stać się z oczami, bo nasze białka stały się nagle różowe i żaden z nas nie potrafił kontrolować swoich rozbieganych oczu. Słońce już prawie zachodziło, gdy dotarliśmy do pustelni.

Ojciec magister nakazał nam zachowywać anielskie milczenie, by w niczym nie zakłócić ciszy świętego Eremity. W jaskini, która przypominała nasze cele, ale w której ściany były nierówne, miejscami wypukłe, miejscami wklęsłe, panował - można było się domyśleć - wieczny mrok; ledwie dostrzegliśmy starca na kolanach z uniesionymi ku niebu ramionami.

Na początku patrzyłem na niego jak na wykutą w kamieniu postać, która ledwie przypominała człowieka. Jego uniesione ramiona były tak wychudzone, że pod skórą ledwie można było dostrzec siatkę żył i słabiutko pulsującą krew. To pulsowanie krwi, uświadomiło mi, że jest to żywa postać.

Nie wyobrażałem sobie, jak takie cudowne zjawisko, istniejące już tyle wieków, będzie można nagle zbudzić, wyrwać z ekstazy oglądania rzeczy, niepostrzeganych przez zwykłych ludzi. Jakby w odpowiedzi na moje lęki i obawy, święty Starzec lekko się poruszył, potem powoli jak figura woskowa, zwrócił w naszą stronę. Twarz miał kościstą i wychudzoną. Pośrodku oczu, ognistych jak węgielki wyjęte z pieca, długi egipski nos i pomarszczone czoło, do którego były doczepione dwa jaskółcze gniazda krzaczastych brwi. Broda gęsta, siwa, do kostek, szczególnie okrywała jego wątle ciało.

Ulegając głupiej, mniszej ciekawości rozbiegliśmy się po kątach jaskini, szukając niewidzialnych skarbów, które święty przez stulecia pewnie nagromadził: tekstów starych pism, które na pewno już znalazł na pamięć, modlitewników, z których recytuje swoje modlitwy, litanii do zmarłych pogrzebanych własnymi rękami, papirusowych zwoi Starego lub Nowego Testamentu. Lecz w skalnych niszach i schowkach poniewierało się zaledwie kilka suchych daktyli, kokosowe skorupy z bielmem jądra, ledwie napoczętym. Patrzyłem z przerażeniem w kierunku ojca magistra, który przyglądając się tej niekoordynowanej przez siebie scenie lękał się, że za moment świętego Starcowi pęknie serce.

Święty Patriarcha nie wydawał się być jednak poruszony naszym najazdem. Nic, co istniało na planecie, nie było w stanie zakłócić jego na zawsze zastygłego skupienia.

„Nie jestem już z tego świata” szepnął. „Jestem teraz z aniołami, z prorokiem Eliaszem na ognistym wozie, wśród świętych Pańskich Kościoła Po-wszechnego”. Potem, składając do modlitwy dłoń, zaczął powtarzać:

„Panie, ochroń mnie od plagi białych myszek z długimi ogonami, od ich różowych rozbieganych oczek, niech w pustynnym chłodzie nocy poznikają”.

Po tej modlitwie zaczęły nam na nowo odrastać uszy, nosy i włosy. Zaczęliśmy po sobie spoglądać z zakłopotaniem.

Ze śnionego świata wyrwał mnie raptownie dzwonek na korytarzu, zerwałem się na nogi. Przez okno do naszej mrocznej celi wlewał się już łagodnie poranny brzask. Zacząłem pospiesznie ubierać się, by zdążyć do kaplicy na rozmyślanie.

Fragment z przygotowanej do druku książki „Skrawki białego habitu”

Aleksander Wierny

LIST DO WAMPIRA

(fragment większej całości)

LIST DO TĘPICIELA WAMPIRÓW WYSŁANY PRZEZ PRZYWÓDCĘ LOKALNEJ SPOŁECZNOŚCI KRWIOPICJÓW

„Szanowny Panie, zostałem upoważniony do napisania tego listu przez reprezentatywnych przedstawicieli naszej społeczności, a zawarte w nim propozycje i sugestie są efektem, po pierwsze, powzięcia informacji o Pańskim pobycie w naszym mieście, po drugie – rezultatem głębokiego namysłu co do najbliższej przyszłości.

Jak się Pan niewątpliwie domyśla, wiedzę o Pańskim przybyciu i intencjach związanych z wizytą w naszym mieście czerpiemy od naszej wspólnej znajomej. Zapewne doskonale ją Pan pamięta, jest wszak jedyną przedstawicielką naszej diaspory, która przeżyła spotkanie z Panem.

Zanim jednak przejdę do konkretnych rozwiązań, które chcemy Panu zaproponować, przedstawię kontekst, ponieważ dopiero ogarnąwszy wszystkie uwarunkowania, będzie Pan mógł należycie zrozumieć, dlaczego pozwalamy sobie na tak nietypową propozycję, odbiegającą zarówno od Pańskiej, jak i od naszej dotychczasowej praktyki.

Miasto, do którego Pan właśnie zawitała, zdecydowanie różni się od metropolii, w których do tej pory wykonywał Pan swoje obowiązki. Nasza społeczność nie odbiega wprawdzie liczbą (biorąc oczywiście pod uwagę jej stosunek do liczby ludzkich mieszkańców) od populacji, jakie spotkał Pan do tej pory, różni się jednak sposobem działania. Nasi bracia i siostry w innych miastach nie tylko pozostają w ścisłym ukryciu, co jest oczywiście zrozumiałe biorąc pod uwagę specyfikę naszej egzystencji, ale także angażują się w życie ludzkiej wspólnoty jedynie w stopniu koniecznym do podtrzymania kamuflażu. My zaś doszliśmy do innych wniosków, a za nimi poszły czyny.

Wykorzystując przewagę doświadczenia i inteligencji, którą mamy nad ludźmi dzięki długowieczności i wystrzonemu zmysłom, przejęliśmy władzę nad miastem. Zapyta Pan zapewne: Jak to możliwe? Przecież mer i radni są wybierani w powszechnych wyborach, a ich działania poddawane ciąglej publicznej ocenie, więc choćby ze względu na ko-

nieczność nocnego trybu życia nie możecie brać udziału w demokratycznych procedurach - i będzie to nad wyraz inteligentne pytanie. Spieszę z odpowiedzią. Nie zawsze ten ma władzę, kto ją oficjalnie sprawuje. Czasem – często, bardzo często, a właściwie zawsze - wybraniec ludu pozwala się owładnąć słabościom, a wtedy staje się poddanym tych, którzy o nich wiedzą, albo – zwłaszcza – pomagają mu ulegać, dostarczając zaspokojenia. Członkinie naszej społeczności, jak Pan wie, wyróżniają się nieodpartym powabem. Poza tym pomagają gromadzone przez setki lat zasoby, pieniądze rozwiązują wiele problemów. Nie będę Pana, rzecz jasna, wtajemniczał w szczegóły, chciałem tylko przedstawić ogólną zasadę.

Jeżeli w tym miejscu przyjdzie Panu do głowy myśl, że próbuję Pana zastraszyć pręcąc pawie ogon, podkreślając możliwości, jakie daje władza (dodam jedynie, że policja municypalna również znajduje się w sferze naszych wpływów, podobnie, jak lokalne oddziały rządowych agencji śledczych, a nawet stacjonująca w koszarach na peryferiach jednostka komandosów), jak najszybciej chcę Pana wyprowadzić z błędu. Moja intencja jest zupełnie inna, proszę się mianowicie przyjrzeć skutkom naszych poczynań - są w generalnym rozrachunku korzystne nie tylko dla naszej społeczności, ale także, choć może się to Panu wydać mało wiarygodne, dla ludzi.

Liczy nie kłamią. Edukowani w naszych szkołach młodzi ludzie dostają się na najbardziej prestiżowe uczelnie, odsetek zdających jest wyższy o 4,7 procenta od drugiego w stosownym rankingu miasta. W innych zestawieniach także przodujemy - mamy najniższą śmiertelność noworodków, najwyższy współczynnik osób z wyższym wykształceniem, najmniejszą ilość drogowych wypadków, przerastamy innych wysokością wydatków inwestycyjnych w przeliczeniu na głowę mieszkańca, wywołujemy zardzość stopą bezrobocia na fantastycznie niskim poziomie, bo zaledwie 1,2 procenta.

Osiągnęliśmy sukcesy dzięki wielu latom wyteżonej pracy, ale przede wszystkim zawdzięczamy je właściwej, wydajnej filozofii działania, u której podstaw leżą proste rozumowanie: skoro żyjemy dzięki mieszkańcom naszego miasta, musimy o nich dbać. Powolni naszej woli miejscowi decydenci muszą się stosować do tej reguły.

Innymi słowy, zdaliśmy sobie sprawę, że warunkiem naszej spokojnej i sytej egzystencji jest szczęście i dostatek ludzkich sąsiadów. Nieszczęście bliźniego, na przykład nagłe zniknięcie kogoś z rodziny, a te się przecież zdarzają, w końcu nie możemy sobie

odmówić stawy, nieszczęście bliźniego nie wywołuje w ludziach wielkiego poruszenia, jeśli wcześniej otorbili się ochronną warstwą rzeczy, przywilejów i przekonań wynikających z rosnącego dobrobytu. Łatwiej się pogodzić z cudzym cierpieniem po dobrym obiedzie, w szybkim samochodzie, w drodze na haitański masaż.

Zburzywszy stworzony przez nas porządek, sprowadzi Pan nieszczęście na swoich współplemieńców. Myślę, że ten argument przekona Pana do zaniechania gwałtownych i radykalnych działań, z których Pan słynie, choć wspólna znajoma, o której już wspominałem, twierdzi, że los ludzi nie Pana nie obchodzi. Nie wierzę jej w tej kwestii, nie chcę wierzyć. Gdyby się jednak okazało, że ma rację, a ja się myliłem, musi się Pan przygotować na stanowczą reakcję, użyjemy wszystkich metod i wykorzystamy wszystkie możliwości, jakie leżą w naszej gestii. Staną przeciw Panu nie tylko moi pobratymcy, ale także ludzie, którzy cenią sobie spokój i dostatek, tych zaś tutaj nie brakuje.

Proszę, niech Pan nie lekceważy moich prośb i sugestii.

Spróbuję Pana ostatecznie przekonać, zdradzając tajemnicę, o której wie bardzo niewiele; powiem w zaufaniu, że nie otrzymałem upoważnienia od odpowiedniego gremium, żeby dzielić się z Panem tymi informacjami, więc proszę to wyznanie potraktować jako twarde dowód mojej szczerości i chęci znalezienia kompromisu. Otóż, dzięki współpracy z zaufanymi lekarzami pracującymi w szpitalach na terenie naszego miasta (nie muszę chyba dodawać, że opieka medyczna stoi tutaj na najwyższym poziomie), zaczęliśmy wdrażać program mający na celu redukcję agresji u członków naszej społeczności. W tej chwili nie możemy nawet marzyć o zastąpieniu jedyne-go źródła naszego pożywienia, ale nie można wykluczyć, że dzięki staraniom medyków, którzy od dawna intensywnie szukają skutecznej receptury, uda się zamienić polowania, będące dziś niezbędnym komponentem procedury uśmierzania głodu, wizytami w dyskretnych placówkach, wyposażonych w dobrowolnie pobraną od ludzi krew. Jeśli wyeliminujemy atawistyczny imperatyw zabijania, przestaniemy być zagrożeniem dla Pańskiego gatunku. Jeżeli powiedzie się tutaj, w tym mieście, być może za naszym przykładem pójdą bracia z innych miast.

Niech Pan nie staje na drodze postępu prowadzącego do szczęścia.”

PAFI ŻYJE

Cezary Nowakowski

Tę koszulę dżinsową z motylem wyhaftowanym na plecach dostał Pafi od swego Starego, który nabył ją za parę fenigów w podrzędnej hamburskiej ciuchbudzie. To było jeszcze w czasach, gdy Stary robił krzywdę kotwicy w niekończących się rejsach drobnicowca „Kłodzko II”, miast używać życia z portowymi dziewczkami. Nad uciechy ciała przedkładał kupowanie rzeczy niepotrzebnych i nie pasujących do niczego i nikogo; tak nakazywało mu poczucie obowiązku, o które nieustannie się posadzał. Pafi jednak pokochał tę koszulę z motylem, bo była jedyną kolorową rzeczą w jego czarno-czarnym życiu. Stała się z czasem jego drugą skórą – emblematem rozpoznawalnym we wszystkich dzielnicach naszego miasta. Motyla zapamiętali zwłaszcza ci, co dostali od Pafiego po ryju, bo też jak mało kto umiał on michę oklepać i oczy elegancko obśliwić. Z tą drugą skórą to też była prawda najszczersza!

Pafi, gdy tylko wąs mu zaszczyt pod nosem uczynił, zagustował w mandarynie. Nie wiedzieć czemu przedkładał pomarańczówkę nad inne napitki. To pewnie z nie do końca zapominanej, dziecięcej tęsknoty za owocami południa, których Tatko w szale zakupów praktycznych zapominał był kupić. Ta mandaryna potrafiła namieszać, oj potrafiła. Kumpie nie chcieli w niej z Pafim dostawiać moczyć. Woleli browar czy – rzecz jasna – ordynarną siwuchę. Tak więc Pafi popijał sam, w cichości. Mandaryna wsiąkała w niego bez przeszkód, nadając z czasem jego obliczu odcień subtelnego fioletu. Zaskodziła zaś Tatce, który widać tych barw w synu nie pochwałał. Dość, że pożegnał ziemski padół, zlorzeczając przedtem na swój los garbaty i ból w sercu okrutny.

Mandaryna zaś mocą swych 35 procent stała się drożniczką. Tak, właśnie drożniczką, bo opuściła szlaban między Pafim a matką czwórki jego dzieci, których dorobił się nie wiadomo kiedy. Ścisłej mówiąc opuszczała tak często, jak tylko mieszała się w żyłach z krwią Pafiego. A, że było to niemal codziennie, więc Pafi dostawał regularnie wieczornego kopa od swej Kobitki i lądował na spanie w łazience, w poźółkłej wannie. Mycie nie było mu wówczas w głowie i bezlitośnie twarda ściana wanny motyli haft koszuli, na plecach odcisnęła, niczym negatyw. Tylko – podwiednięte jakby – skrzydła motyla barw swych nie dostały. Tam też, w ła-

zience, błędząc wzrokiem po ścianach olejnicą pościąganych, natknął się kiedyś na obraz Chrystusa, bodaj pamiętkę własno komunijną.

Zbawiciel wskazywał przeklutymi dłońmi na serce cierniem oplecione. Wzruszyło to Pafiego. Jakże to? Serce na wierzchu, skrwawione, bolące?

[*Motył musnął Pafiego skrzydłami po raz pierwszy*]

Odtąd to Pafi pogwarzał wieczorami z Jezusem. Obsobaczał, informował, łzawo-smarkliwie skamlał. O matce co w długą poszła, o tatce nieczułym, o Kobitce co dawać już nie chciała. Nawet o mandarynie i mękach rzygania. Cierpliwie, w milczeniu słuchał Jezus słów Pafiego. Czasem tylko cierniem mocniej się zakłuł. Tak też trwali, kto wie jak długo. Najczęściej wszakże aż do świtu, kiedy budził ich zza szyby głos Kobitki: Pafi żyyyyyjesz?

Pafnucy¹ nie był cykorem, a jednak strach dopadał go coraz częściej i ścisnął rozetę tyłka aż do bólu. To wina Jezusa, myślał. Tego obolałego zegarmistrza. Bo o czas właśnie Pafi bał się najbardziej. Czy zdąży, czy się jeszcze załapie, czy wróci?

Pomarańczowa stanowczo twierdziła, że nie. Pa-liła w gardło, w przelyk, w przeniecowany żołądek. Zabierała nieodmiennie w kranie wieczornego zapomnienia, by potem w nocy spychać podstępnie w czeluść przerażenia. Pafi bał się. Płakał.

I miał rację.

Jakoś późną jesienią kobitkowe kopnięcie w tyłek było solidniejsze. Skończyły się Pafiemu wylegiwania w wannie, pogwarki w Pocięszycielu. I forsa też się skończyła, ta dziabnięta z piterka Kobitki i ta skołowana od sąsiadów, znających Pafiego od szczeniaka. Znow tylko mandaryna i szlaban.

- Odwróciłeś się od mnie, wyгнаłeś. A mówi-li żeś jest miłością niezmierną, żeś odkupieniem - dumal w utrapieniu Pafi.

I tak motyl Pafiego chcąc nie chcąc przytulał się odtąd do siennika brata albertowej noclegowni, a znacznie częściej – w mandarynowej poświacie i zawirowaniu – do posadzek piwnic czy kurzu poddaszy. Tu też znalazł go ksiądz Pszoniak, przywołany krzykiem kogoś miłosiernego, przywołany do rzekomo odchodzącego w wieczny niebyt Pafiego.

W milczeniu – jak Jezus – słuchał ksiądz słów Pafiego. Szeptu skargi, chlupania, zawodu niespełnionych obietnic. Słuchał, a potem tylko ręką ciepłą pogłaskał po głowie i żywego Jezusa kazał szukać.

[*Motył musnął Pafiego skrzydłem po raz drugi*]

Pafi trafił w objęcia Chrystusa; tak przynajmniej sądził. Zagarnął Go chciwie językiem w codziennej komunii. Drżał słuchając Jego słów w czytaniach Ewangelii. Wydębił nawet zmiętoszony egzemplarz Pisma, gdy kiedyś wieczorem poprosił szarytki o talerz zupy.

Nocą strach wracał. Szarpał za spotniałą czuprynę, za trzewia, przypominał to co wcięło się kiedyś w mrok pamięci, a czego nazwać było nie sposób. Przerazał, kotłował nadzieję z plugawstwem obślizgłym, z żalem. Znow lała się mandaryna. Znow, bez końca.

W napotkanych ludziach widział Pafi wrogów, bezczelnych arogantów, którzy ciągle czegoś chcieli, ku czemuś popychali.

Trzeba było wiać przed tym strachem, jak najdalej. Wsiadł tedy Pafi do osobowego. Wykopał go konduktor po pięciu przystankach. Nogi jednak niosły dalej, wciąż dalej, przed siebie. Potem już tylko nawinał się jakiś ziomek to kiszoncek wiozł trakto-rem. I w pole wywiozł. W pole, kurwa mać!

A tam miękko, grząsko, zielisko jakiegoś po pas. No i nogi nieść już tak nie chciały. Skurczył się z zimna motyl na plecach Pafiego. Nie tylko on zresztą się skurczył. Wiało.

I wtedy stanął Pafnucy oko w oko ze swym wrogiem znieawidzonym. Ze strachem, ze sparszywiałym gnębicielem. Chwyił go Pafi za poły jesionki, szarpał aż szwy trzasnęły. Darł na strzępy podszycie wiatrem odzienie. Coś krzyczał, błagał. Z drewnianej głowy strącił wyliniałą baranicę i w jedyną nogę kopnął, aż się sam przewrócił. Zobaczył wtedy, że szkielet stracha był krzyżem drewnianym, zapewne wyrwanym z zapomnianej mogiły. Na ramionach krzywego krzyża cynowa pasyjka, dyndająca na gwoździu.

Gdzieś obok, gdzieś w środku, gdzieś nigdzie i gdzieś wszędzie Głos powiedział: PAFI TY ŻYJESZ!

[*Motył musnął Pafiego skrzydłem po raz trzeci*]

Od dwóch lat Pafnucy jest niepijącym terapeutą w ośrodku uzależnień Braci Głosicieli Miłosierdzia Bożego w Węgorzynie. Jest człowiekiem Bożym. Żyje.

¹ Pafnucy – imię pochodzenia egipskiego, wywodzące się od koptyjskiego „paprute” – człowiek boży



Pociągiem było wygodniej...

Zbislaw Janikowski

Podróżowaliśmy ostatnio różnymi pojazdami od konnej dorożki przez rowery po pierwsze samochody, po miejskie autobusy, tramwaje. Jeździliśmy nimi ulicami naszego miasta ale i dalej, po Polsce a bywało, że i za granicę. Jednak w tamtych odległych już czasach do prawdziwych podróży służyły pociągi a Czeszochowa była w tym cudownym położeniu, że od nas można było jechać niemal wszędzie i to bez większych komplikacji, a czeszochowski dworzec kolejowy był na owe czasy pojemny i wygodny.

A zaczęło się wszystko w 1846 roku kiedy 17 listopada na nowy czeszochowski dworzec sławnej „wiedenki” wjechał pierwszy prawdziwy pociąg. Nie myślcie jednak, że fakt ten pamiętam za to z tego co tu miało miejsce w sto lat później aż po dzień dzisiejszy - pamiętam niejedno.

Otóż pamiętam dworzec z powojennych lat, panował tu jeszcze przedwojenny porządek, wejścia na perony pilnował siedzący w budce bileter, który wypuszczał tylko za okazaniem ważnego biletu upoważniającego do przejazdu lub za okazaniem specjalnej wykupionej w kasie „peronówki”, czyli biletu upoważniającego do wejścia na dworcowe perony. A wchodziło się po przyjeżdżającej w odwiedziny lub żegnanej we łzach ciocię, wchodziło się do działającego tu całą dobę zakładu fryzjerskiego (oj była na to moda), wreszcie do naprawdę przyzwoitej dworcowej restauracji i (też modnej). Gdy już walec społeczniana handlu i usług zgniółł te bastiony prywatnej inicjatywy odwiedzało się jeszcze dworzec na późnowieczorne lub nocne piwo z tym, że to było już nie TO. Dworcowe poczekalnie były niemal jak a Indiach, kastowe, czyli pierwszej i drugiej klasy. Była też (a jakże) dworcowa toaleta, cały budynek w stylu kolei Warszawsko-Wiedeńskiej (budynek stoi dalej z tym że są w nim jakieś sklepiki z ciuchami), jak to w takich przybytkach bywa nie było tam zbyt schludnie za to wystrój przypominał lata świetności, kafelki o niespotykanych dziś kształtach, od bieli odcinały się ciemnogrnatowe lub ciemnozielone

szlaczki, żółte ozdobniki i bardzo już archaiczne urządzenia sanitarne (żeliwne emaliowane płyty z bezpośrednim zrzutem w przepastne głębiny). Sam dworzec to bardzo solidny budynek stylizowany na starodawny parowóz, hol z czterema potężnymi filarami i umiejscowionymi w czterech rogach kasami biletowymi, wielkie białe tablice rozkładów jazdy, okrągły biały z czarnymi cyframi i wskazówkami (bardzo dokładny) zegar, ściany w okresie nachalnej stalinowskiej propagandy niemal wytapetowano propagandowymi plakatami, z których straszły karykatury Wuja Sama, krwawego hiszpańskiego generalissimusa - Franco, przewrotnego jugosłowiańskiego Tito, chińskiego Czang- Kai -Czeka i innych wrogich nam person światowej polityki. Dla równowagi z pomiędzy tych upiornych postaci uśmiechały się do podróżnych dziewczyny siedzące na traktorach lub inne ze snopami złotej pszenicy w rękach. Dworzec ten miał jedna bardzo charakterystyczna rzecz – swój niepowtarzalny zapach, a może był to dworcowy smród? Mieszana papierosowego dymy, mokrej parującej odzieży, przepoconego obuwia, nadpsutych podróżnych zapasów spożywczych. Nasilał się ten zapach gdy na osobny nieprzelotowy tak jak gdyby izolowany peron kielecki wjeżdżał pociąg właśnie stamtąd.

Dworcowe perony były już przedsiemkiem wielkiego świata, szczególnie ten pierwszy, najważniejszy, niemal reprezentacyjny. Szeroki, wygodny przykryty dachem z niego był właśnie dostęp do wcześniej wymienionych dóbr lub jak kto woli usług gastronomicznych. Stąd roztaczał się widok na płataninę torów i zwrotnic, zlokalizowaną naprzeciwko parowozownię, obrotnicę, na której ustawiano parowozy do jazdy po wyznaczonych torach i w wyznaczonych kierunkach. Przy torach stały wielkie pompy do napełniania wodą tendrów parowozów (bo w takim parowozie oprócz zapasu węgla na drogę niezbę-



Fot. Leszek Piłlichowski

SENTYMENTY

ny był zapas wody; ogień + woda dawały napędzającą parowóz parę), wreszcie zamontowane na stalowych masztach semafony, które uniesioną do góry łapą-wskaźnikiem otwierały maszynieście wolną drogę.

Wszystko to zmieniło się z chwilą elektryfikacji kolejowego szlaku. Przebudowano perony zlikwidowano parowozownię, obrotnicę, wielkie pompy a wraz z nimi piękne emaliowane tablice ostrzegające, że ta woda jest niezdatna do picia. Semafony zmieniły się w nowoczesne przypominające uliczne sygnalizatory, odstąpiono nawet od pobierania opłat za wejście na teren dworca. Przybyło za to żelaznych słupów podtrzymujących trakcję z kolejną porcją tabliczek tym razem groźniejszych, elektryczne przewody groziły śmiercią. Na peronach znalazło się za to miejsce na ławeczki dla podróżnych i tylko dworcowa toaleta trwała jeszcze przez długie lata niczym ostatnia reduta.

Jeszcze jakiś czas broniła się inna archaiczna instytucja, instytucja bagażowego ale ta bez poparcia władz, które preferowały równość społeczna a więc eliminowały wyzysk człowieka przez człowieka (bagażowy z założenia musiał w, wprowadzić za opłatą ale zawsze) nosić cudze bagaże a więc dla takiego „sługi” nie było miejsca w nowym ustroju. Instytucji tej nie obroniła nawet sławna anegdota o wycieczce naszych socjalistycznych bagażowych do socjalistycznej Moskwy. Gdy pociąg zatrzymał się na głównym „woksale” nasz bohater otworzył hermetyczne okno i gromko zawołał: „bagażowy, wszyscy bagażowi!” i gdy pod oknem wagonu zebrała się grupka gotowych do pracy bagażowych on z wysokości wagonowego okna oświadczył – „Moskiewscy bagażowi, ja pozdrawiam was od polskich bagażowych!”, tylko tyle i aż tyle.

A potem wyburzono ów historyczny ponad stuletni budynek dworca, powstało to co jest z tym, że większość kolejowych tras opuściła Częstochowę.

Pociągi też zmieniły się, wielkie ciężkie czarne cielska lokomotyw zastąpiły elektrowozy lub zupełnie niewidoczne, ukryte we wnętrzu osobowego składu elektryczne zespoły napędowe. Przypuszczam, że coraz mniej ludzi pamięta owe lokomotywy (patrz „Lokomotywa” Juliana Tuwima) Nawet parowozik stojący jako pamiątka obok budynku dworca od strony Alei Wolności to tylko namiastka takiej wielkiej prawdziwej lokomotywy. Czarna wielka maszyna z wymalowanymi na białą i czerwono wielkimi kołami, z potężnymi tłokami, galejrykami po których kręcili się obsługujący maszynę a uzbrojeni w oliwiarki pomocnicy maszynisty, stalowymi osłonami kotła, wielkim umieszczonym centralnie na tym kotle reflektorem, potężnymi, znowu wymalowanymi na białą i czerwono buforami, dymiący komin i spowijające wszystko kłęby białej pary i dumny umieszczony na burcie znak naszego narodowego godła – orła i trzy litery P K P – co znaczyły tłumaczyć nie trzeba. Wreszcie unosi się łapa semafora, gwiazdki konduktorów, gęstniejące kłęby pary, ciężkie stęknienia-sapania i potwór rusza – „... najpierw powoli jak żółw ociężałe...”

Dokonujące się zmiany w taborze kolejowym zmieniły a może i zabiły swoistą atmosferę towarzyszącą kolejowym podróżom. Aby podróżować trzeba „wsiąść do pociągu byle jakiego” a w tym pociągu zająć miejsce w wagonie. Gdy ja dostąpiłem przyjemności kolejowego podróżowania było już nieźle, pamiętam jednak widoki z mostu kolejowego w alejach (wtedy mówiło się most a nie wiadukt), z mostu który był swoistym tarasem widokowym na kolejowy dworzec i jadące pociągi. Zapamiętałem te jeszcze wojenne kiedy pociąg pchał przed lokomotywą (dla bezpieczeństwa ze względu na podminowywane przez partyzantów tory) puste wagony platformy, na których na gapę podróżowało mnóstwo młodych lu-

dzi wychodzących z założenia, że nie każdy pociąg będzie wysadzany. Z tego samego miejsca obserwowałem również ludzi jadących na dachach wagonów, wiszących na stopniach a nawet na buforach między wagonami z tym, że były to już pierwsze lata powojenne. Ja tak nie podróżowałem.

Doświadczyłem jednak podróży w wagonach od pierwszej do czwartej klasy. Tak, były takie nim władza ludowa w zapale





Fot. Leszek Piłichowski

równania wszystkich z wszystkimi zlikwidowała tą niesprawiedliwość i zostały tylko dwie klasy – pierwsza i druga. Te najdawniejsze jedyńki miały siedzenia przypominające babcine kanapy, wybijane pluszem (plusz był w drobne wielokolorowe paseczki – wspaniała wzór do studiowania jego struktury przez malucha jakim w tym czasie byłem). Oczywiście złośliwcy i zazdrośnicy mówili, że to wylęgarnia pluskw (jakby wtedy pluskwy swobodnie nie żyły wszędzie). Druga klasa była też miękka ale już bez pluszu, trójka – ławki drewniane a czwórka to niemal towarowe wagony z drewnianymi ławami pod ścianami i stertą bagażu na wielkiej kupie na środku przedziału. Tego nie pamiętam ale w wagonach takiej konstrukcji podróżowałem, prawdopodobnie sztucznie podwyższono im standard (podwyższono klasę wagonu), nim zniknęły a ich miejsce zajęły wagony typu „pulan” – z korytarzem i zamykanymi przedziałami. W tych pradawnych którymi jeździłem nie zawsze było tak luksusowo, niejednokrotnie każdy przedział miał drzwi prowadzące na zewnątrz wagonu, okna które za żadne skarby nie chciały się domknąć, nie brakowało za to tabliczek, które informowały, ostrzegaly, zakazywały.

I tak: „nie pluć, nie zanieczyszczać wagonu”, „nie wychylać się”, „zabrania się przewozić materiały wybuchowe oraz broń nabitą”, „zabrania się przewozić materiały żrące i cuchnące”, „zabrania się korzystać z toalety podczas postoju pociągu” i jeszcze coś tam, coś tam. Prawdziwą groźbę budziła czerwona skrzyneczka hamulca bezpieczeń-

stwa z sążnistą instrukcją. Były też lakoniczne informacje „dla palących” lub nie i o dziwo wszyscy tego przestrzegali. Nikt nie zakazywał za to jedzenia a to trwało w podróży niemal od samego początku aż po jej kres. Zapasy produktów choć może niewyszukane były ogromne, pajdy chleba krojone przez całą szerokość sporego w owych czasach okrągłego bochenka, całe mendle jaj i to prawdziwych od wolno żyjących a nie fermowych kur, klinki białego sera, czasami pęta kiełbasy, których czosnkowy zapach pamiętam do dziś i oczywiście litrowe

(po wódce) butle cienkiej ale z to słodkiej jak ulepek herbaty. I jeszcze jabłuszka, domowe, znowu prawdziwe, niepryskane, z których niejednokrotnie wylażył żywy tłusty robaczek...

Na to wszystko wchodził do przedziału konduktor ubrany oczywiście w kolejański granatowy mundur z tym, że zimą w długim sukiennym płaszczu, płaszczu którego ani deszcz ani wiatr ani mróz się nie miał a w lecie w kolejańskim stroju „do figury”, ale zawsze w czapce rogatywe. Konduktor obciążony był torbami w których schowane były bardzo ważne dokumenty, blankiety biletów do wypisywania w miarę potrzeb, rozkład jazdy i oczywiście (od zmierzchu) w karbidową zmyslną latarkę (marzenie co najmniej co drugiego podróżującego pociągiem chłopca). A o szczypczykach (czy były to szczypczyki, czy coś innego) do dziurkowania biletów oczywiście zapomniałem.

A dokąd podróżowano, to już innym razem.

Zbislaw Janikowski



Fot. Leszek Piłichowski

FOTOGRAFIA z HISTORYJKĄ

Częstochowa Zawsze Głodna! Janusz Mielczarek

Obserwując dzisiaj wyścig wyciągania nam z kieszeni złotych przez przeróżne markety, galerie i inne budy handlowe, o których obietnice „wszystkiego prawie za darmo” potykamy się na każdym kroku, warto przypomnieć, że pierwszym dużym - na ówczesną skalę - obiektem handlowym w Częstochowie był Dom Handlowy „Centrum” przy al. Wolności, wybudowany i eksploatowany przez PSS „Społem”.

Zamysł jego budowy powstał za prezesury Stanisława Luterka, a dzieło kontynuował i doprowadził do końca prezes Zbigniew Winkler. Były to osoby, które dobrze zapisały się w powojennej historii instytucji, która w trudnych czasach tak zwanego „handlu uspołecznionego”, starała się zachować - nie tylko z nazwy - charakter spółdzielczy.

Zaopatrzeniowcy „Społem” sobie tylko znanymi sposobami zwozili do DH „Centrum” towary o wiele atrakcyjniejsze, niż te, które sprzedawano w innych sklepach. Dlatego był on zwykle pełen klientów oraz organizowano w nim okazjonalne pokazy i kiermasze.

Pamiętać trzeba, że była to połowa lat 60. Podobno w tamtych czasach, w „Jagrze KaDeeLu”, (przypominam, że chodzi o tzw. Kraje Demokracji Ludowej), byliśmy społeczeństwem nieźle odzianym. Potwierdzeniem tego była „turyistka handlowa Polaków, a dla mnie również wizyta znajomego Czecha z Pragi w roku 1967. Właśnie w DH „Centrum” wypatrzył sporo ciuchów i buty, na które ostatecznie brakło mu pieniędzy. Pożyczyłem mu kilkaset złotych, które w Pradze odebrałem w koronach. O czeską walutę było trudno i miała bardzo stabilny kurs.

W tym okresie w witrynach sklepów społemowskich, głównie odzieżowych (przede wszystkim w „Nastolatce” przy ul. Kilińskiego) pojawiły się w dekoracjach okien wystawowych fotografie ładnych dziewczyn, których zrobienie zaproponował mi pan Szubert, zajmujący się w „Społem” - jak byśmy to dzisiaj powiedzieli - sprawami promocji.

Na fali popularności serialu „Cztery pancerni i pies” lansowano też w DH „Centrum”, co widać na fotografii, ubrania chłopięce pod takim tytułem. Choć nie miały w komplecie czołgowych hełmofonów ani pepeszy, to sprzedawały się dobrze. Chwyty reklamowy okazał się udany.

Dzisiaj, będąc osaczonymi siecią chwytów agresywnych i wykalkulowanych przez bajerantów od marketingu, często nie wiemy czy kupujemy jeszcze towar, czy tylko chwyt reklamowy.

P.S. Wspominając handlową prehistorię warto zauważyć, że po roku 1975 i utworzeniu województwa częstochowskiego, Katowickie - nie tylko ze względu na górnictwo - wciąż pozostawało uprzywilejowane pod względem handlowym. Dlatego częstochowianie (część miała już „wyścigowe” maluchy) jeździli do Katowic na zakupy. Ponieważ litery poprzedzające cyfry w pierwszej serii częstochowskich rejestracji samochodowych były CZG, to w Katowicach czytano je jako: Częstochowa Zawsze Głodna.



Czas to nie pieniądź... czas to człowiek

Rozmowa z Darkiem Malejonkiem, Maleo – założycielem i współzałożycielem wielu grup i projektów muzycznych m.in.: Izrael, Houk, 2Tm, 2, 3, Arka Noego; wokalistą, gitarzystą, autorem tekstów i liderem Maleo Reggae Rockers, z którym nagrał kolejną płytę pt. Addis Abeba; mężem, ojcem trójki dzieci, wolontariuszem Salezjańskiego Wolontariatu Misyjnego SWM.

Jesteś na scenie muzycznej ponad 25 lat, ze sceną reggae też łączą Cię lata twórczości. Jak oceniasz rozwój tej sceny w Polsce z perspektywy lat? Co się zmieniło? Czy pojawiło się wraz z XXI wiekiem w muzyce reggae coś dobrego, lepszego, złego?

To jest sinusoida, bo w latach 80. była w Polsce bardzo mocna scena reggae, grało mnóstwo kapel. Bodajże paręset, ktoś to kiedyś policzył. Natomiast lata 90. to taka zapaść. Pod koniec lat 90. scena reggae'wa zaczęła wychodzić z podziemia. Coraz bardziej była widoczna i słyszalna. I teraz to jest apogeum, bo jest bardzo wiele zespołów reggae i festiwalu. Co do zmienienia się formy, to faktycznie teraz jest przewaga zespołów dancehall'owych i ragga, natomiast nurt rootsreggae ma się coraz lepiej. Coraz więcej młodych ludzi zaczyna sięgać po rootsreggae. Jest taka droga od Sean Paula do Marleya. Młodzi ludzie słuchają Sean Paula odkrywają, kto jest dla niego mistrzem. A mistrzem dla Sean Paula jest oczywiście Bob Marley. I zaczynają odkrywać te rzeczy głębsze. Myślę, że tak jest też w Polsce.

Na każdym koncercie wypowiadasz imię Jezus, dając w ten sposób świadectwo. Na ostatniej płycie śpiewasz: Osamotnieni, ale nie powstrzymani /Tak często wyszydzani, ale nie pokonani... Czy zdarzały się jakieś otwarte ataki agresji, szyderstwa w odpowiedzi na Twoje świadectwo?

Kiedyś tak. Teraz są trochę inne czasy. Jakies dziesięć lat temu miałem kilka takich sytuacji jak rzucanie kamieniami, grożenie. Teraz tego nie ma. Są ludzie, którzy są bardziej tolerancyjni i tacy którzy nie są. Ale myślę, że większość ludzi przyjmuje to, co robię. Chodzą o pewną moją drogę, która jest widoczna. Pewne rzeczy są autentyczne albo nie są autentyczne. W moim przypadku jest to widoczne. Dlatego jest szacunek od ludzi, którzy nie wierzą lub wyznają inne religie. Tak na przykład jest w Izraelu, w którym gram. Jest buddysta i lu-

dzie, którzy w ogóle nie uznają żadnej religii. Ale gramy wspólnie. W ogóle muzyka reggae'wa zawsze była duchowa i Bob Marley zawsze śpiewał o Bogu.. W krajach zachodnich nic się nie dzieje, kiedy ktoś ze sceny mówi takie rzeczy. Natomiast u nas, w takim kraju wydawałoby się katolickim, jest to uznawane za tabu. Zawsze przełamywałem różne tabu, i w tym przypadku też.

Jako młody człowiek poszukiwałeś Boga, pewnej drogi w różnych wyznaniach i ruchach religijnych, o czym mówisz w książce Radykalni. Dzisiaj młodzież też poszukuje, jeżdżą na spotkania Rainbow, Szpot itp. Co byś powiedział tym młodym ludziom, np. swoim dzieciom, gdyby chcieli jechać na Rainbow?

To są trudne sprawy. Myślę, że nikt nie lubi, jak mu się cokolwiek narzuca. Dlatego nigdy tego nie robię. Mogę śpiewać o sobie. Albo co mnie dotyczy. Nigdy nie narzucam swojego zdania innym, bo sam tego nie lubię. Jeżeli ktoś szuka duchowej prawdy, to ją znajdzie wcześniej czy później. Wierzę w to. Oczywiście są sekty, które robią techniki prania mózgu, i tego trzeba się wystrzeżać, uważać. Bo jak się przechodzi inicjacje w sekcje, to może to spowodować wielkie zniewolenie. Ja nie mówię w tym momencie, a propos Rainbow. Mówię ogólnie, że trzeba uważać. Wszędzie, na różnych spotkaniach, są pułapki. Różni ludzie, grupy, sekty zastawiają sidła. Myślę, że trzeba być uważnym. Młodzi ludzie są otwarci, ale trzeba się kierować jakimś rozsądkiem i uważać na to, co się robi.

Dość często występujesz w Częstochowie, w tym roku już trzeci raz. Skąd taka częstotliwość? Skąd kontakty z częstochowskim środowiskiem?

Jak sama nazwa... Często... Dlatego często gramy... W Częstochowie często gramy. Mamy tutaj wielu przyjaciół: braci Pospieszalskich, zespół Habakuk itd. Bardzo lubię tu grać. Zawsze jest wspaniała atmosfera. I zawsze reggae to było mocne.

Jakie znaczenie, jako dla chrześcijanina, ma dla Ciebie Częstochowa i sanktuarium na Jasnzej Górze? Tu złożyłeś świadectwo swojej wiary w 1996 r. na Ogólnopolskim Czuwaniu Grup Odnowy w Duchu Świętym.

Częstochowa jest stolicą duchową Polski, tu nie ma dwóch zdań. Stąd płyną wszelkie błogosławieństwa na ten kraj. Dlatego jest to miejsce, które jest bardzo dla mnie ważne. Tutaj przeżyłem bardzo wiele wspaniałych, duchowych chwil. Zawsze jak tu jestem, to idę stanąć przed obrazem świętym, który jest w moim życiu bardzo ważny.

W ubiegłym roku w czerwcu odbył się festiwal Reggae day na częstochowskim stadionie miejskim. Jak oceniasz ten festiwal jako muzyk tam występujący?

Każde miasto próbuje teraz mieć swój festiwal. Jest tego bardzo dużo. Z tego, co pamiętam (a graliśmy bardzo dużo koncertów w tym roku) to było bardzo pozytywnie.

Czy jesteś wojownikiem, który trzyma zło na celowniku? Jak to przekłada się na życie codzienne?

Staram się być. Cały czas mieć tą broń zarepetowaną, przygotowaną. Codziennie w życiu są wybory. Czy pójdziesz prostą drogą, czy zбочysz? Czy idziesz na łatwiznę? Czy robisz dobro, albo zło? Często jest ten wybór. Dlatego trzeba być zawsze przygotowanym, na to, żeby wybrać dobrze. Są mi bardzo pomocne w tym psalmy. Jest napisane, że psalmy są światłem do moich stóp. Często dają światło na codzienne życie, jak postępować, co robić.

Podróżowałaś po Afryce. Po powrocie byłeś zaangażowany w akcję zbierania funduszy na misje. Na ostatnim koncercie w Częstochowie usłyszałem z Twoich ust, że w porównaniu z krajami afrykańskimi Polska jest teraz bogatym krajem. Co byś powiedział wszystkim malkontentom, którzy mają mieszkania, czasem domy, jeżdżą samochodami i narzekają, że jest bieda, nie ma pieniędzy, rząd nie taki itp.?

Musieliby pojechać do Afryki i zobaczyć, jakie tam są realia. Myślę, że to by im zmieniło optykę widzenia i postrzegania świata. Bo naprawdę, my mamy megalusosową sytuację, tutaj w Polsce. Nie mamy wojny, nie mamy totalnej korupcji i złodziejstwa. Jest pięta władza czyli media, które bardziej czy mniej ale stoją na straży pewnych rzeczy. Myślę, że mamy wolność. Mamy wiele bezcennych rzeczy, których tamte kraje nie mają. Oczywiście to się nie wzięło znikąd, bo nasi przodkowie o to walczyli. I nie można tego stracić i rozmiennieć na drobne za kasę, czy za komfort i stanowiska. Żeby stanąć na chwilę i pomyśleć, gdzie ja idę. Gdzie ja biegnę? Po co ja to wszystko robię? Życie jest krótkie. Kiedy żyć, jak teraz ludzie odkładają... i trzeba robić, robić, robić, żeby mieć na starość. A jak będziesz stary, to ile będziesz miał lat? Siedemdziesiąt? Będziesz schorowany i co z tymi pieniędzmi zrobisz? I tak one pójdą dla dzieci, dla wnuków. Bez sensu. Myślę że ważne jest, żeby żyć tu i teraz. Ludzie w Afryce tak mają. Czas to nie jest pieniądź dla nich. Czas to jest człowiek. I tego możemy się od nich uczyć.

Czy jesteś zadowolony z płyty Addis Abeba? Skąd tytuł? Czy to nawiązanie do kolebki chrześcijaństwa w Afryce, jaką była Abesynia?

Nie tylko. Bo jest też kolebką reggae. Większość zespołów reggae nawiązuje do Etiopii jako kolebki Afryki. To jest taka kolebka afrykańska i Etiopia jest dla Afrykanów czymś, z czego mogą być dumni. Tyle tysięcy lat ciągłości i bardzo wielka kultura, muzyka i sztuka. Addis Abeba zrobiła na mnie ogromne wrażenie i chciałbym tam kiedyś wrócić. Jest taką Afryką w pigułce. Z płyty jestem zadowolony bardzo. Jest to najbardziej spójna płyta Maleo Reggae Rockers. I taka dojrzała. Chciałbym iść w takim kierunku dalej, żeby następna płyta była jeszcze lepsza. Mamy już pomysły. Na razie cieszymy się z tej płyty. Gramy na koncertach wiele nowych numerów z niej i promujemy ją.

„W tych szarych, smutnych czasach chcemy nieść przesłanie nadziei, przesłanie, że życie ma sens, że jest Bóg, który kocha człowieka. Że życie jest darem Boga” to słowa z wywiadu pt. Babilon musi upaść, autorstwa Patrycji Michońskiej. Dlaczego te czasy są szare i smutne? Przecież dookoła tylu kolorowych ludzi, bawią się w techno-klubach i dyskotekach. Oni też na pewno mają jakiegoś swojego Boga.

Jakoś nie widzę po tych ludziach, żeby byli szczęśliwi. Jak się idzie ulicami Warszawy, to raczej widać same smętne twarze, zero uśmiechu i zero codziennej empatii, która czyni życie bardziej znośnym. Myślę, że ludzie są pogrążeni w swoich problemach. I nie jest to wcale takie fajne. Nie mówiąc o tym, że są choroby, przemoc, wojny, wyzysk człowieka, gdzie mamona rządzi i ludzie są często trybikami, są sprowadzeni do roli przedmiotów. Dlatego nie mają czasu na własne życie, na odkrywanie siebie, na tworzenie czegoś, na bycie człowiekiem. Jest tak, że życie jest takie na powierzchni. Niby z wierzchu jest fajnie, ale w środku dużo zgnilizny, fałszu, kłamstwa. I zwykłej biedy ludzkiej, ale skrzętnie ukrywanej.

Jakie plany po zakończeniu trasy koncertowej z Maleo Reggae Rockers?

Na razie trasa koncertowa trwa. Jest to taka trasa weekendowa. Mamy ją zaplanowaną do końca lutego i myślę, że dalej potem całe lato. Będziemy myśleć o nowej płycie w przyszłym roku. A teraz mam dużo innych projektów. Właśnie wróciłem z Afryki. Jestem wolontariuszem Salezjańskiego Wolontariatu Misyjnego SWM. Można wejść na stronę internetową www.swm.pl i chce też robić różne akcje, nie tylko muzyczne.

Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał Rafał Salamucha

Podróż ze scenarzystą

Joanna Grochowska

Wokół była śnieżna zima, a jej było gorąco. Czy dlatego, że za chwile miał wjechać na peron oczekiwany pociąg? A może dlatego, że oczekiwała operacji i myślenie o tym za każdym razem nią wstrząsało? Albo dlatego, że okres młodzieńczej adolescencji stał się wspomnieniem i zmienił się w czas kończącej się dojrzałości?

Zanim sobie udzieliła odpowiedzi, pociąg nadjechał. Wsiadła, jak zawsze z bijącym sercem, czy będzie wolne miejsce, bo nie czuła się na siłach stać kilka godzin. Ale udało się. Siedziała, niewielki bagaż zajął stosowne miejsce, a w jej rękach znalazła się nowa, szeroko reklamowana jeszcze przed wydaniem, książka Jana Czesława Kieleckiego „Scenarzysta”. Medialny szum, namaszczone „wielka sprawa”, która była jej tematem, wywiady, osoba autora, dawały nadzieje na ciekawą lekturę. Istotnie, czytało się „lekkko, łatwo i przyjemnie”, niestety niewiele z tego wynikało. Nie mogła bowiem oprzeć się wrażeniu, że to taki intelektualny, a właściwie przeintelektualizowany bełkot. Bełkot mający wskazywać prawdziwego bohatera niechybnie w osobie autora, który pewnie w ten sposób leczyc rany politycznego odrzucenia i egotycznego przekonania o posiadanej racji. Informacje o powieści mówiły o jej akcji umieszczonej w przyszłości, tymczasem umieszczono w niej osoby i fakty (z imienia i nazwiska) żyjące i działające współcześnie, również niemal chwilę temu. Dziwna to była konwencja, bo z każdej karty książki wycierał real. Warkły, krótkimi zdaniem prowadzony dialog, nie pozwalał zgłębić sensu werbalizowanego w ten sposób przez autora świata, nawet tym, którzy te czasy przeżyli (-wali). Cóż zatem mieli z tego zrozumieć młodzi, do których zapewne dzieło było kierowane, którzy nie mieli pojęcia, jak wyglądało życie niepokornych w burleskowych czasach jedynie słusznych, życie w kon-

spirze czy na krawędzi prawdy. W czasach, które z jednej strony stały się wyznacznikiem faktycznej, choć reglamentowanej wolności jednostki, z drugiej świadomego rozluźniania pezetpeerowskiej dyscypliny, służącej nomen omen umacnianiu słuszności protestu. Nie wiedziała, jaka naprawdę idea przyswiewcała powstaniu książki. Była przecież pokoleniem autora, a za nic nie umiała wyciągnąć jednoznacznego wniosku. Nie umiała dokonać żadnej oceny, bo opierając się na krótkich warstwach dialogowych nie była w stanie w sposób jasny i czytelny wyprowadzić z nich konkluzji. Starannie wydana, napisana ładną polszczyzną powieść (dokument?) była dla niej o niczym. Teoretycznie o polskiej martyrologii okresu przemian, a praktycznie o charakterystycznym dla Polaków zaprzepaszczaniu zwycięstw i rozdrabnianiu się na małe swary, inteligentkie rozbijactwo proletariackich zrywów oraz wyjątkowa umiętność zdradzania wszystkiego, od idei po ludzi. Praktycznie też o poczuciu wyższości i niespełnieniu duchowym przywódców. Przywódców, którzy aspirują do moralno-cynicznego mentorstwa. Nie mogła oprzeć się wrażeniu, że Jan Czesław Bielecki chciał za wszelką cenę stać się mentorem, ale dla niej stał się ledwie kiepskim nauczycielem historii zamiennej na scenariusz hollywoodzkiego filmu. Jak zawsze w takich razach była zniechęcona, ale właśnie dojechała, więc porzuciła dalsze refleksje nad niewartą zbytniej uwagi książką...



Fot. Janusz Piernikarski

Tegoroczna surowa zima z pewnością na długo zapadnie wszystkim w pamięć. Jako wydarzenie rzadkie, a przy tym niezwykle piękne oraz momentami dramatyczne, stanowić powinna dla wielu twórczą inspirację. Chyba, że zima - mająca zwyczaj zaskakiwać urzędników, drogowców i kolejarzy - zaskoczyła także artystów.

Gdzie poeta szuka poezji?

Rozważania nad tomikiem poetyckim
Rafała Salamuchy „Pod światło”

Autor tych wierszy, które zamieścił w schładnie i interesująco pod względem graficznym wydanej książeczce, jest nie do końca prawdziwym debiutem. Ma on za sobą szereg prezentacji i wiele nagród w różnorodnych konkursach, między innymi w Turnieju Jednego Wiersza w ramach XXXI Ogólnopolskich Konfrontacji Poetyckich im. Haliny Poświatowskiej. Mimo to wydawnictwo „e-media” wpisało twórczość młodego poety (rocznik 1979) w swoją serię pod nazwą „Biblioteka debiutów”, być może zapominając o „Pierwszym arkuszu poetyckim częstochowskiego środowiska literackiego” z 2004 r., przygotowanym przez „Aleje 3”. Rafał Salamucha zaprezentował w nim aż dziewięć utworów poetyckich, które spotkały się z uznaniem redaktora tego arkusza, Waldemara M. Gaińskiego. Tym razem wierszy jest aż 31, zebranych w przekrojową całość pod wielce wymownym tytułem „Pod światło”.

Do zawartości tego tomiku poetyckiego wprowadza, według jego autora, trafna i rzetelna recenzja Piotra Nity. Recenzent stwierdza: „...Salamuchę toczy głód poznania. Równocześnie akceptuje on ostateczną niepoznawalność świata. Pogodzenie tych dwóch postaw w ekлекtycznym splocie tworzy tkaninę, którą warto oglądać również pod światło, i to ze zdwojona uwagą...”, a dalej czytamy: „...niepokorne zróżnicowanie obrazów dodaje wierszom szwungu. Polichromiczna ławica obserwacji tańczy według precyzyjnej reżyserii Salamuchy – harmonijnie i z wycuciem...”

Matko Bosko Częstochowsko!!! Drogi recenzencie – hola, hola – powoli! Ta poezja zasługuje bez wątpienia na więcej szacunku oraz rzeczowej analizy. Czyli po prostu trzeba się zastanowić trochę, wydobyć i określić, ile poezji jest w poezji Salamuchy, to znaczy – gdzie poeta szuka poezji i jak ją znajduje. Trzeba więc zacząć od kończącego tomik utworu „Miejsce: Ziemia, Europa, Polska, miasto prowincjonalne. Czas: XXI wiek”. Autor konstatuje: „...Miasto nie daje im szans, miejsca i czasu. Ścieżki zostają zacierane, a przyciągający z daleka blask ich głów jest tłumiony oparami ulic. Tylko nieliczni „krzyżcą” i piszą na murach: POEZJA JEST TU...” Tak więc poezji trzeba szukać w tym miejscu – prowincjonalnym, 250-tysięcznym mieście. „Zszywaczy i spawaczy słów” można odnaleźć wszędzie – to właśnie w nich jest poezja. Trzeba tylko to zobaczyć, umieć słuchać, rozumieć innego. Myślę, że to przesłanie – gdzie szukać poezji? – jest zasadniczym, kardynalnym pytaniem, na które chce sobie

i innym odpowiedzieć młody poeta. Salamucha sprawnie buduje ruchome obrazy, ustalając w nich domenę czasu. A oto pierwszy z brzegu przykład:

...Gwiazda zachodzi, znika. Nieustanny obserwator przyrody po około dwudziestu czterech latach traci blisko sześć tysięcy wschodów słońca...

albo:

*...zastanawiam się nad
wszystkim co otacza mnie
nad wodą z oczu
nad jeziorem z łez
nad wszystkim tym co
istnieje
choć wiem że przestanie...*

W wierszu „Zły wybór” napotyamy inaczej formułowany i modelowany przestrzenny obraz w poezii:

*...w jaskini obrazy stygły
na rozpustnych ścianach...*

by później, w utworze „Bo kiedy tak...” napisać:

*...wciągam przez nos oddech
zastygły w sekund wianek...*

a w poemacie „Najłatwiejsze” uprzedmiotowić oraz uporządkować czas w ten sposób:

*...przy telefonie milczenie świece gasi
muszę wyjść i przypomnieć naiwnemu dzieciństwu
by nie kłudo nie bodło by wracało do siebie...*

lub go poetycko przyspieszyć w poetyckim wodziewie „O jedną minutę za dużo...” w ten sposób:

*...Dalej chodził do kościoła
i przestał być ... na sprzedaż...
Minuta minęła, a on skończył studia.*

Wiersze Salamuchy są nie tylko przesiąknięte wywoływanymi ze wspomnień i codziennej obserwacji rzeczywistości wyrazistymi obrazami, przebiegającymi w czasie – są także lirycznymi wyznacznikami, spowiedziami ze swojego osobnego, pełnego ludzkich doświadczeń życia. Poeta szuka i znajduje. Znajduje poezję – jej obraz w czasie.

Marian Panek

Podwójna miara

Altei Leszczyńskiej „Podwójna miara” ukazała się w sierpniu 2009 r. w wydawnictwie Literackiego Towarzystwa Wzajemnej Adoracji „Li-TWA”, w serii wydawniczej „Częstochowska Biblioteczka Poetów i Prozaików” pod redakcją Władysława E. Piekarskiego.

Autorka „Podwójnej miary” urodziła się w 1978 r. w Katowicach. Ukończyła studia na Wydziale Humanistycznym Akademii Polonijnej w Częstochowie – specjalność: tłumacz języka angielskiego, francuskiego i hiszpańskiego. Maluje, drukuje grafiki, pisze większe i mniejsze formy prozatorskie, również poezję. Ma na koncie kilka indywidualnych wystaw malarskich w połączeniu z grafiką. Jest członkiem Regionalnego Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych w Częstochowie, przez krótki czas (2006). była członkiem zarządu. Była jednym z realizatorów I Triennale Sztuki Najnowszej w częstochowskiej Zachęcie, gdzie w czerwcu 2008 r. przygotowała i została kuratorem wystawy „Gender w sztuce najnowszej”. W 2009 r. ukończyła studia podyplomowe na Wydziale Malarstwa Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie – dyplom w Pracowni Malarstwa prof. Teresy Kotkowskiej i w Pracowni Interdyscyplinarnej prof. Zbigniewa Bajka. Teksty literackie i publicystyczne publikowała na łamach „Panoptikum”, „Alej 3”, „Galerii” oraz „Fahrenheit”. Od czerwca 2009 r. jest również członkiem Literackiego Towarzystwa Wzajemnej Adoracji „Li-TWA” z siedzibą w Częstochowie.

Sama powieść została zaprezentowana w czasie Wieczoru Debiutantów zorganizowanego przez „Li-TWE” 27 sierpnia 2009 r. w sali widowiskowej Regionalnego Ośrodka Kultury w Częstochowie. Pi-sarka mówi w krótkim posłowniu, że debiutancka powieść napisała w grudniu 2003 r. Kończy opowieść stwierdzeniem jednego z bohaterów, pisarza Jana, że nigdy tego tekstu nie wyda. Jan twierdzi, że schowa „go głęboko do szuflady. Nie ujrzy on światła dziennego”. Można się zastanawiać, jak i o ile fikcja literacka ma swoje źródła w rzeczywistości, codzienności i doświadczeniach autorki. Moim zdaniem ma, a grudzień 2003 r. jest jedną z dat, które towarzyszyły powstawaniu „Podwójnej miary”. Altea Leszczyńska nanizuje i wyluskuje w swojej narracji rozłożo-

nej na nakładające się na siebie psychologiczno-egzystencjalne spowiedzi czterech głównych bohaterów – problematykę winy i kary za popełnione czyny, intrygi, słowa, zachowania. Dotyka tematu odpowiedzialności i możliwych granic moralności. Jako motto powieści przywołuje na wstępie fragment Apokalipsy św. Jana: „Gdyż aż do nieba dosięgły grzechy jego i wspomniął Bóg na jego nieprawości. Odpląćcie mu, jak i on odpląćci, i w dwójnasób oddajcie według uczynków jego.”

Czworo narratorów, mówiących o swoich życiowych związkach, niby razem, ale po kolei; opowiadających osobnym, własnym językiem o odmiennej strukturze, sposobie przekazywania emocji, przesuwania w czasie frazującą historię o nie tylko gejowskiej miłości. Jest ta opowieść także próbą zobaczenia problematyki związanej z poczuciem odpowiedzialności w różnorodnych kontekstach życiowych, włącznie z uprawianiem seksu, zadawaniem bólu innym i również sobie.

Bohaterowie tej powieści, pisarz Jan, jego żona Anna, córka Ewa oraz demoniczny młody intrygant Dominik, stanowią ludzki kwartet, skażony własnymi chorymi ambicjami, zawiedzionymi nieodwzajemnionymi uczuciami, kompleksami różnej maści. Tekst czyta się w pewnym napięciu, prawie jak zagadkowy kryminał, choć „Podwójna miara” nim nie jest. Można pogratulować Altei Leszczyńskiej udanego debiutu powieściowego i oczekiwać następnych interesujących narracji.



Jacek Fraćkiewicz

Na kłopoty - lekarz

Revolucja w Częstochowie miała bezkrwawy przebieg. Z woli wyborców odszedł długoletni prezydent miasta, Tadeusz Wrona (podobno do Warszawy). Następnie, na prośbę mieszkańców, pan premier polskiego rządu mianował miejskiego komisarza. Komisarz Piotr Kurpios, niedawny radny, nazywany teraz „pełniącym funkcję prezydenta”, jest z zawodu lekarzem. Na razie nie miał wiele okazji, aby dla dobra współobywateli zrealizować wizję z herbu miasta – byśmy byli jak Lew (siła) i jak Kruk (mądrość). Ale wiadomo: terapia musi potrwać.



Fot. Leszek Piłchowski

Nowa odsłona Mariana Panka

Współpracownik naszego pisma, znany częstochowski malarz, Marian Panek, na wernisażu wystawy swoich prac w Konduktorowni „Zachęty” zaprezentował się od nowej strony. Licznie zebrani wielbi-

ciele talentu artysty mogli go podziwiać w zupełnie innej niż do tej pory marynarce. Zaraz po imprezie rozgorzała długa dyskusja, podczas której próbowano rozszyfrować tę tajemniczą przemianę, zwiastującą najpewniej nowe ścieżki twórczości MP. Kupił nową marynarkę – dowodzili konserwatyści. Koloryści, że pożyczyl od kolegi. Undergroundowcy, że wy pożyczyl w teatrze. Zaś przedstawiciele performance i najmłodszych nurtów w sztuce - ze osobiście uszył.



Fot. Leszek Piłchowski

Dla wszystkich

Niezwykłym powodzeniem cieszyły się w Częstochowie Targi ślubne. Jest to impreza absolutnie dla wszystkich. Dla tych, co chcą mieć ślub, mieli ślub, nie zmiarzą mieć, marzą o ślubie ale się do tego nie przyznają itd. Mamy w mieście targi prawie na wszystko: targi sztuki, kulinarne, turystyczne, rolne, oświatowe, kamieni szlachetnych etc. etc..



Dla wybranych

Salony poezji w Teatrze im. Adama Mickiewicza nie są imprezami dla wszystkich, ale gromadzą komplety publiczności. Nic dziwnego, bo to cały kombinat kulturalny. Aktorzy nie tylko czytają poezje, ale także malują obrazy i grają na flecie.



Fot. Leszek Piłchowski

Gdzie jest redaktor



Redaktor dwumiesięcznika „Aleje 3”, Marian P. Rawinis - jak to mówią - wziął i osierocił pismo. Jedni twierdzą, że się po staropolsku „zalenił”, inni, że podobno znowu zszedł do podziemia. Konkurs w sprawie, gdzie się redaktor podział - nie zostanie ogłoszony.

WOREK CZĘSTOCHOWSKI nr 18

Le Vorecǫ Czenstochovien *pod redakcjǫ Janusza Piernikarskiego i Jana T. Podźdama*

BĘDZIE SIĘ DZIAŁO

Teatron Częstochowski przygotowuje na ten rok dużą premierę w postaci dramatu Iotrzykowskiego „Nikczemny Wytłoko”. Przedstawienie ma być prawdziwym hitem i dlatego pracownicy teatru nie zdradzają szczegółów. Wiadomo, że akcja ma się rozgrywać równocześnie na XVIII-wiecznej Sycylii oraz w XXI-wiecznej Częstochowie. Dyrektor zapowiedział w programie kulturalnym lokalnej telewizji „Szałik na stoliku”, że spektakl musi być takim przebojem, żeby starczyło na węgiel w przyszłym roku.

NIECH ŻYJE BAL!

Coraz prężniejsze częstochowskie towarzystwo literackie, pod nazwą bodajże „Białorus”, nie pozwala o sobie zapomnieć. Ostatnio otrzymaliśmy wiadomość o organizowanym przez to gremium Balu Liberałów i Chomików. Impreza nie należy do najtańszych – taniej wypadła poprawka egzaminu na prawo jazdy – ale za to w cenę wliczona będzie zimna płyta (czyżby nagrania w stylu cold wave?) oraz pół litra na łeb. Znając organizatorów, można być pewnym, że chociaż tego ostatniego nie zabraknie. Czekamy na dalsze tego typu imprezy, integrujące różne środowiska: np. Bal Fotografów i Cukierników, Bal Strażaków i Grybiarzy, Bal Prokuratury i Blondynów etc.

METAPOEZJA

Ukazała się książka Mariana Szepseskafa „Od zlewu do Poświętowskiej”. Jest to bardzo oryginalne spojrzenie na najważniejsze zjawiska w powojennej poezji regionu częstochockiego, jak wskazuje tytuł – skoncentrowana na tendencjach i achronologiczna. Specyfika podejścia polega na tym, że szkice krytycznoliterackie zostały same zapisane wierszem. Wiersz ten zaś, jak przystało na dzieło zanurzone w literackiej tradycji regionu, opiera się na rymach częstochockich.

STRASZY W MIEŚCIE

I poraz kolejny do Częstochowy przybywają filmowcy. Tym razem kolej na horror, a może thriller. Jerzy Szwesterkind powrócił ze stażu w ekskluzywnej Horror Movie School w Okazaki (Japonia) i zamierza kręcić m.in. w szpitalach na Tysiącleciu, św. Barbary i Zawodziu. Zdjęcia do filmu „Lekarz Psychiczny” rozpoczną się po stabilizacji pogody. Apełujemy do Czytelników o dostarczanie gumowych węży (nie, nie takich do podlewania) na adres redakcji.

GALOPEM PO WYSTAWACH

W połowie stycznia cała Częstochowa stała się wielką galerią. Sprawili to marznący deszcz, za którego sprawą drzewa, krzewy, słupy, ogrodzenia i – bez przesady – w ogóle wszystko pokryło się lodową skorupą. Najstarsi częstochowscy pagórale nie pamiętają takiej pogody. Ale znowu lepsze eksponaty mają gdzie indziej, co stwierdził nasz wysłannik po wizycie w Małopolsce. Tam skorupę lodową pokrywał dodatkowo szron, przez co drzewa wyglądały jak upierzone.

MECENAS 2009

Nagrodę dla najlepszego sponsora kultury w minionym roku otrzymał Rafał Poszeszupiec. Urodzony na Suwalszczyźnie w 1949 roku, ukończył Wyższą Szkołę Hodowli Zwierząt w Białej Podlaskiej i odbył staż wśród pasterzy w bratniej Mongolii. W 1985 został dyrektorem PGR-u w Gielmójtach, a od 1991 zajmuje się działalnością sponsorską. Sfinansował Festiwal Pieśni Zielonkawej w Gorzowie, co roku funduje stypendia dla uzdolnionych plastycznie uczniów, organizuje plenery malarskie i wydaje książki. Poszeszupiec ma tylko jedną wadę – nie ma nic wspólnego z Częstochową.

Z OBOZU RESTYTUCJONISTÓW

Czas mija, a do reaktywacji województwa częstochockiego nie jest coraz bliżej. W związku z tym na XVIII Kongresie Częstochockiej Ligi Restytucjonistycznej w „Czepeliance” doszło do rozłamu. Od głównego nurtu, tzw. imperialistów, domagających się odtworzenia województwa w granicach sprzed „rozbiorów”, oderwało się Towarzystwo „Suchnokryptos”, kierowane przez Marcjanę Pachol. Jej plany obejmują wykopanie całej Częstochowy, umieszczenie jej na specjalnym podwoziu i przewiezienie na jedną z greckich wysp.

SPOTKANIA NA PELENGOWEJ

Centrum Studiów Artystycznych „Neshoma” przy ul. Pelengowej 15 proponuje kolejne zajęcia dla młodych artystów. 29 marca Bolek Kotowski przeprowadzi zajęcia z artystycznego haftowania.

31 marca odbędzie się wykład Ireny Katłabuch „Ein Secret Tschenstochau 1997-2010: trzynaście lat urbanistyki zupełnie z sufitu”.

MONSTFUR

Monstfur powstał w połowie 2006 r. w wyniku spotkania się dwójki studentów Wydziału Edukacji Artystycznej Akademii im. Jana Długosza w Częstochowie. Nie podpisujemy się nigdy ani jednym ani drugim nazwiskiem, można powiedzieć, że wyzbyliśmy się swojego prywatnego „ja” na rzecz dziwnej, „tajemniczej” postaci, którą wirtualnie kreujemy. Dlatego nazywanie nas grupą czy duetem, nie wspominając o podawaniu nazwisk, koliduje z koncepcją „personalną” naszego projektu. Monstfur przede wszystkim realizuje się na ulicy - w przestrzeni publicznej, ponieważ tam znajduje najbardziej wdzięczne obiekty do aranżacji. Niezwykle ważne jest otoczenie jako kontekst, w którym znajdzie się kompozycja. Obok ulicznych działań równolegle maluje też w pracowni. Stosuje blachy, stare tablice informacyjne, które znajduje np. w skupie złomu lub na ulicy. Wykorzystuje niejednokrotnie istniejące podłoże – tlenek żelaza, korozja, resztki liternictwa, pozostałości po czymś, co już nie funkcjonuje.



Monstfur - mural hedon

miejski potfur kreatura

MPK

